Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela dnia 22 września 1935 r. Nr. 38.



W przejasny dzień jesieni...

Złocą się owoce i czerwienią
Pomiędzy soczystą drzew zielenią —
Na serce odblask ich barw mi padł

I rozsłonecznił je wnet pogodą —
Więc myśli radosny tan dziś wiodą
Na ustach wykwita uśmiechu kwiat.

Złocą się owoce i czerwienią
Pomiędzy soczystą drzew zielenią
Na serce odblask ich barw mi padł.

— — — — — — — —

Czy coś się na lepsze w życiu zmieni
W ten cudny, przejasny dzień jesieni
Że się tak słodko uśmiecha sad?...

Danuta Wyrybkowska.

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

18)

23-go lutego 1919 roku.

Pani S... proponuje mi żebym odwiozła do Warszawy jej matkę staruszkę. Koszta mojej podróży opłaci sama. Zgodziłam się. Chciałabym wiedzieć, gdzie się teraz Staszek obraca. Czy też spotkamy się kiedy?

4-go marca. Warszawa.

Otrzymałam od Sznelińskiego telegram, że przyjedzie do Warszawy 15-go marca. Służy w wojsku polskiem.

Ciekawa jestem, jakie zrobimy na siebie wrażenie. Ten ostatni rok wymęczył mnie bardzo. Schudłam, zbrzydłam, zestarzałam. Wyglądam na trzydzieści parę, choć mam dopiero 26 lat.

15-go marca.

Dziś spotkaliśmy się. Gdy dzwonek zabrzmiał, ogarnęło mnie drżenie. Oto szło ku mnie moje przeznaczenie. Jakie ono będzie?

— — — — — — — — —

Był i odszedł. Wysoki, postawny, przystojny, przystojniejszy nawet, niż sobie go wyobrażałam, ale inny od pojęcia, jakie sobie o nim wyrobiłam.

Mówiliśmy o rzeczach banalnych, o sprawach potocznych. Bawił niedługo, spoglądał często na zegarek, jakby się gdzieś spieszył.

Tak długo oczekiwane spotkanie przyniosło nam obojgu tylko rozczarowanie.

19-go marca.

Przyszedł znowu. Mówił, że wyjeżdża na front pod Wilno, jutro w nocy, że ma dużo zajęcia przed wyjazdem.

Kręcił się nerwowo, spoglądał na zegarek, wreszcie pożegnał się i wyszedł. Przy pożegnaniu pocałował mnie w rękę i zapewnił o swej przyjaźni.

Inaczej przedstawia się marzenie, a inaczej układa się rzeczywistość.

— — — — — — — — —

Już dwa miesiące upływają od jego wyjazdu, a nie otrzymałam słówka wiadomości.

— — — — — — — — —

Nareszcie list. Duża kwadratowa koperta, a w niej ćwiartka papieru...

— — — — — — — — —

Przyklejona kartka, zapisana szczelnie jego pismem.

...Popełniam podłostkę, względem tego młodziutkiego, ślicznego stworzonka. Ja człowiek zużyty, o lat 20 starszy od niej, zniszczony przejściami, zestarzały przedwcześnie latami niewoli, żenię się z szesnatoletniem dziewczątkiem, świeżem jak majowy poranek, rwącem się do życia, ale kocham ją. Obudziła ona we mnie stępiałe skutkiem warunków niewoli zmysły, obudziła pragnienie życia i wiarę w przyszłość i szczęście. Więc choć wyrzuca mi sumienie, że nadużywam jej niedoświadczenie, zagłuszam je, nie chcę słyszeć jego szeptów.

Kocham i pragnę, to wszystko co posiada dla mnie obecnie wartość.

Poznałem tę moją ukochaną dziewczękę w domu jej rodziców, gdy stałem u nich na kwaterze w Jeziernach.

* * *

A pod tym listem skreślone jej ręką:

— Jakie jest względne poczucie podłości.

Robi sobie wyrzuty w stosunku do tej panienki z prowincji, dla której małżeństwo z nim jest oknem na szerszy świat, jest możnością wyfrunięcia z klatki życia małomiasteczkowego, gdzie zwiędłaby jako żona aptekarza, nauczyciela, naczelnika poczty lub stacji kolejowej, a w najlepszym razie doktora albo inspektora szkolnego, nie zobaczywszy nic więcej ponad „kocie łby" i kałuże błota wiosennego lub jesiennego na rynku w rodzinnym miasteczku, chyba czasami, raz na parę lat udałoby jej się zrobić wycieczkę aż do Lwowa. Znałam takie egzystencje, patrzyłam na nie w pobliskiem od mego domu miasteczka.

A ja? Dzieliłam się z nim obcym, nieznanym mi ostatnim kawałkiem chleba, dla niego przymierałam z głodu, dla niego nieznanego, dalekiego odrzuciłam tak zwaną partję, wyrzekłam się dostatku i człowieka, którego kochałam, Przekreślenie za jednym zamachem wszystkiego ,co się pisało i przyrzekało, nie będąc o to proszonym, wymazanie z pamięci przysięgi, złożonej dobrowolnie i wymożonej odemnie nawzajem, jest dla niego drobnostką niewartą wzmianki nawet.

List pełen adoracji dla tej innej, która porwała go swą młodością i urodą, a dla tamtej nic — zero — bo nie jest ani ładna, ni taka młoda, bo nie jest w „guście". Dobra była i miła, gdy o głodzie moralnym i fizycznym siedziało się za kratkami, lecz gdy poczuło się wolność, to ktoby taką drobnostkę, jak uczucie podstarzałej panny, brał pod uwagę.

Lekceważące przemilczenie niech jej służy za wyjaśnienie. Jeżeli słowa i obietnice listowne brała na serjo, tem gorzej dla niej i sama sobie winna!...

— — — — — — — — —

A na kartce kajetu dopisek.

„Według nakazów psychologji popowstaniowej, robiącej sztuczną nieraz atmosferę tragizmu, poświęcenia, zupełnie często bezużytecznego i cierpienia nawet tam, gdzie tego nie było, powinnam była pamiętnik ten spalić, pobłogosławić pana, a samej delektować się uczuciem zawodu, upokorzenia i pokrzywdzenia. Ale ja, jak pan wie, wychowałam się zagranicą, gdzie uczą radości życia i wykorzystania każdej okazji do śmiechu i przyjemności, lecz gdzie uczą również i odpowiedzialności za swoje czyny i słowa, za które trzeba ponosić konsekwencje.

Tragedją naszego charakteru polskiego jest właśnie to, że w nas nie wpajają od dzieciństwa, czy to w chłopców, czy w dziewczęta poczucia odpowiedzialności za swoje czyny i słowa, i to właśnie podrywa zaufanie, stwarza krzywdzonych i krzywdzących, wzbudza niewiarę w ludzi.

Potęgą Anglji wewnętrzną, która zbudowała jej wielkość polityczną zewnętrzną jest właśnie to poczucie odpowiedzialności, wpajane tam od wieków każdemu dziecku od kołyski prawie.

Tam słowo jest przysięgą. A u nas co?

— — — — — —

Gdy spotkaliśmy się z panem, doznałam zawodu. Był pan inny od postaci, którą sobie wyimaginowałam. Zgniotłam jednak w sobie to uczucie i byłam gotowa mimo wszystko dotrzymać słowa, chociaż to ja byłam przez cały czas tylko stroną dającą, a pan biorącą i mniej się od pana należało więcej niż panu ode mnie.

* * *

Zamknęła zeszyt i zamyśliła się.

Ile to w życiu ludzkim przewija się zdarzeń i wypadków ze sobą niepowiązanych i nie mających żadnego wpływu na dalszy bieg życia.

Dlaczego ona właśnie musiała opiekować się Domańskim, o którym słuch zaginął po jego zwolnieniu z obozu?

Dlaczego stanął na jej drodze Szneliński i odgrodził ją od małżeństwa ze Staszkiem.

Po co i na co zdały się jej lata pracy ciężkiej i odmawiania sobie rzeczy koniecznych, by nakarmić jakiegoś nieznanego jej przedtem mężczyznę, który jej za to zapłacił upokorzeniem.

Czyż nie prościej było dla niej skończyć uniwersytet i wyjść za Olgierda, jeżeli już on jej był losem zgóry przeznaczony.

Poznała go daleko od frontu, choć w roku najzażartszych walk o granice Polski, w jesieni w 1919 roku na cichej wsi wileńskiej, w dworku ukrytym wśród rozłożystych lip i starych jabłoni, co ciekawie zaglądały do małych okienek.

Spędzała tam wówczas urlop rozkoszując się polską jesienią, babiem latem.

Przyjechał do Ustronia z kolegą, u którego chwilowo bawił, przechodząc okres rekonwalescencji.

Rozmawiali dużo ze sobą, chodząc po pod drzewami, uginającemi się od dojrzewających jabłek.

Od tego czasu przychodził piechotą, lub przyjeżdżał konno codziennie, aż do końca urlopu.

Oświadczył jej się w ciepłą, cichą, tajemniczą noc księżycową w słowach prostych, niewyszukanych, a pełnych uczucia.

Komu, na co i po co potrzeba było tyle jej męki, łez i samozaparcia się?...

— — — — —

Pod oknami rozległy się głosy dzieci. Wracały z miasta z imienin od kolegi małego Rysia Szrama. Przyjechały tramwajem i udzielały sobie nawzajem wrażeń z tej jazdy i z wizyty.

Wstała, wyjęła zapałkę z pudełka, otworzyła piec i wrzuciła w niego pamiętnik.

W piecu tlił jeszcze żar, zapałka okazała się niepotrzebną, bo ogień objął momentalnie zeszyt.

— Co było, niech idzie w niepamięć — pomyślała, nie wierząc temu jednak.

Wrażenie bólu fizycznego trwa u chorego do powrotu do sił lub do chwili zagojenia się rany, ale pamięć o bólu moralnym idzie przez życie całe. Sam ból może przeminąć, wspomnienie o nim jednak trwa ciągle, zagłuszane powraca za lada przypomnieniem.

KONIEC.

JAN ANDRUSZEWSKI

Południe

Upalny, duszny dzień.

W powietrzu jawna, tłocząca, leniwa ociężałość, jak gdyby zbudzona skwarem zmora snu uleciała z rozgrzanej gęstwy konopi i maków — i spowiła w letarg ziemię.

Wiatr nie muśnie, nie ruszy się liść, nie zachwieje źdźbło trawy.

Ruchliwe zazwyczaj motyle skryły się cicho pod liśćmi drzew — duże ważki o szklistych, mieniących się w słońcu skrzydełkach, wygrzewają się w niem chciwie po suchych badylach, po żerdziach płotów, po pochylonych kłosach zbóż.

Za to muchy i bąki uprzykrzone, natrętne, jakby opętane jakąś złą siłą, czepiają się ludzi — tną bydło i konie na pastwisku, do oczu im się pchają, do uszu lezą, do nozdrzy.

Odpędza się od nich srokaty kundys, drzemiący pod przyzbą chałupy — kłapie gniewnie białymi, ostrymi zębami, chwyta muchy w przelocie — połyka.

Od rana pieją po wsi koguty inaczej jakoś, niż zwykle, przeciąglej, senniej...

Wtórują im z gałęzi wiśni wrzaskliwe samice wilgi, głusząc przeraźliwem skrzeczeniem melodyjny gwizd samca, błyskającego złotem pierzem w ciemnozielonem listewiu...

— — — — — —

Nad łanem pszennym pochylona rodzina wieśniacza. Upał wyciska ludziom pot z czół — zapiera dech w piersiach.

Z żaru słońca roztopionego w siwem niebie, z rozpalonych pól, z przywiędłej naciny ziemniaków, z nagrzanych liści trzmielin po gajach, z duszącej woni dzikiej pietruszki po rowach — z szaleju, lulków, blekotów w opłotkach, — wywijać zdaje się śmiertelny upiór letniego południa, zawistny życiu, ziejący jadem zatrutych tchnień.

Nad pola cicho skrada się — zbóż się czepia — nad łąkami zawisa, nad trzcinami — rozpływa się w sinawo-mglistym oparze, co przejrzystą, ledwie widzialną gazą przesłania świat. Cicho wywija się, zdradnie, ku żeńcom się skrada, podpatruje ich zaszłemi bielmem upału ślepiami — przypełzła do płachty, zawieszonej na drągach, wbitych w ziemię — przygląda się uśpionej w niej maleńkiej dziecinie...

— — — — — —

— A no dalej wiązać! — woła ogorzały barczysty chłop, wskazując sierpem na pomieć wyżętej pszenicy — dalej do snopa, bo będzie deszcz! Ot tam od zachodu jakieś chmursko niedobre wyłazi...

— Będzie, nie będzie — sapie jego teść, siwe, przygarbione wiekiem „dychawiczne" chłopisko. — „Wola Boża" — mruczy, ocierając pot ze zczerniałej twarzy, pooranej w bruzdy, niby ziemia szarawa, zawleczona bronami.

— Ot, byście nie mruczeli — przynagla zięć — gospodarz, patrząc z podełba na złowrogo czarny rąbek dalekiej chmury — a żywo-ż wiązać, hej wszyscy „wraz"!

I długie ramiona żylaste nad zbożem leżącem rozpostrze i chciwie w nie garnie płowe, ważne kłosie — i ściska do kupy, a chyżo snop przewiąsłem okręci — jeden, drugi, dziesiąty...

Trzyma się z nim równo żona jego, tęga, przysadzista kobieta o rysach twardych, spalonych słońcem, jak dola chłopska zahartowanych w spiekocie i znoju.

Tuż obok nich „zwijają się" pobrani niedawno młody Procko, wysoki smukły brunet, co „freitrem" wyszedł z wojska w jesieni, z córką ich smagłą, gibką szatynką, cienką w pasie, o zwinnych, opalonych dłoniach, o oczach szaro-modrych, przelewających się życiem, niby wartkie wody ruczaju, płynącego wskroś wsi.

Z tyłu za nimi pozostał stary ze swą „babą", pomarszczoną jak on staruchą, słaniającą się ze zmęczenia i wieku, ni to brunatny suchy liść jesienny, co odrywa się już od drzewa — i lada chwila spadnie na ziemię.

Przy nich dwunastoletnia Nastusia, bratanica gospodarza, drobnemi czarnemi rączkami usiłuje związać snop większy od niej, przysadza się do niego, przewraca go z całych sił, mocuje się z nim, ocieka potem po chudej śniadej twarzyczce, po spalonem ciałku, widniejącem z pod rozhelstanej koszuliny.

— — — — — —

— A no baby! — rozlega się krzepki głos chłopa w odpowiedzi na pierwszy głuchy pomruk nadciągającej burzy. — Dowiązywać „co pary" i nosić duchem tu do nas, a ty, Procko, ze mną do półkopków! Południe będzie aż „po wszystkiemu", gdy kopy staną...

I porywa najbliższe snopy, pod pachy wciska, na plecy zarzuca, aż cały nimi zakryty, niby żywy, ruchomy stóg pszenicy, ciągnie je na zagon środkowy, kędy za chwilę staną półkopki.

Tymczasem do ciężkiej, gęstej, czarnorudej chmury, pełznącej zwolna z nad łąk, nadlatują już chłodne tchnienia.

Lekkie zrazu, łagodnie muskają ociekające znojem ciała żniwiarzy — pieszczą je, owijają, osłaniają przed żarem południa.

A ciała te przemęczone, zlane potem, buchające gorącem, oddają im się z rozkoszą, na chłodny powiew nadstawiają spalone twarze, piersi, plecy, do których przylgnęły mokre, niby z wody wyjęte koszule.

Tylko sam gospodarz nie pragnie chłodu. Niema czasu na chłód...

Niezmordowane, stalowe zda się jego ramiona chciałyby zdwoić się, stroić i mnóstwem ramion zgarnąć wszystkie snopy z pola, unieść je czemprędzej, ułożyć przed burzą w półkopki.

Procko też chłop nie byle jaki i wojak przecież, a ledwie mu może nadążyć...

Ot i stoją już kopy... Trzy, cztery, dziesięć... Niedługo staną wszystkie, cały rząd, a wtedy niechby sobie i deszcz popadał. Potrzebny i on... Na konicz, na ziemniaki, na kapustę, na tę ziemię świętą, co schnie już na kość...

— — — — — —

— Tu, tu! Pod półkopek! Wszyscy pod jeden! Nie psuć mi innych! — wśród szumu ulewy i gwizdu wichru woła zziajane chłopisko.

I południenki bierzcie ze sobą — a teraz „sam czas" na południe... dodaje na pół żartobliwie.

Pomiędzy granie półkopka pod strzechę jego „czapki" ciśnie się cała rodzina. Młoda Prockowa jedną ręką otula dziecinę, wyciągniętą z płachty na drągach, drugą, ociekającą potem i deszczem podaje mężowi węzełek z „południenkiem".

Za granicą tuż obok, dziadunio zgięty w pół, kabłąkiem starych pleców wtłoczony w snopy półkopka, osłania płótnianką staruszkę, żegnając się przy każdej błyskawicy, trzęsącymi się ze strachu, czarnymi od żniwa palcami.

Pomiędzy starych wtuliła się trwożnie Nastusia, wylękłe oczy chustką przesłania od błyskawic, wylękłe uszy zatyka rączkami, wciska główkę w słomę, w kłójące ośćiami kłosy pszeniczne.

— Ech! Nie tak strzelało na „maniebrach", jak „poczeni" walić z „kanonów"... sobie i innym dodaje odwagi Procko.

I jakby na potwierdzenie, że niema czego tak bardzo lękać się burzy, niesie do ust kawał ułamanego placka ze serem.

Tymczasem, choć to było samo południe, ściemniło się tak, jakby się już miało pod wieczór.

A w tym mroku przedwczesnym czerwonawo-krwawe błyski raz po raz rozdzierają zalany strugami „tuczy" przestwór — i raz po raz z rykiem grom go rozewrze, niby straszliwy głos surmy zmartwychwstań, co łono ziemi rozszczepi w dzień sądu Bożego...

Czasem na chwilę zcichną pioruny — i tylko ulewa pluszcze, tylko wicher gwiżdże i snopy jak wiechcie roznosi po polu...

Wówczas wtuleni w zboże ludzie, przemoczeni ulewą, zmieszaną z potem ich znoju, po przez deszczu szum i wycie wichru słyszą nierówny, przyspieszony łopot własnych serc...

Wtem niebieskawo-żółty zygzak płomienny wskroś wodnej opony gna od chmur do półkopka — i trzask suchy — przeciągły — złowrogi...

— I cisza...

Nikt nie wstał z pod kopy, nikt się nie ruszył.

Wiatr niesie ostrą, krzemienno-ozonową woń piorunu i swąd tlejącej słomy, siecze ulewa — huk gromów jak gdyby przesilony, wyczerpany już, słabnie, oddala się — milknie...

— — — — — —

Rozeszły się chmury i słońce błyszczy ponad długim rzędem porozwalanych burzą półkopków pszenicznych.

Pod jednym z nich w mokrej ścierni, lśniącej rosą do słońca, na pół żywa dziewczynka na kolanach opełza z trudem półkopek i obłąkanym grozą wzrokiem zagląda w sine twarze wieńczących go trupów.

A one siedzą wciśnięte w słomę, jakby się jeszcze tuliły w nią przed burzą, milczące — nieruchome — sztywne.

Tylko młoda matka ze skostniałej ręki upuściła na ziemię żywe niemowlę i stygnie, tężeje coraz więcej, choć woła jej dziecko płaczące w trawie, choć słońce znowu tak pali na niebie...

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

30)

Nie byłem tam, sądząc jednak z tego, co mi opowiedziałeś, scena ta, (zdaje mi się, że ją widzę) taki miała przebieg: Pan d'Escorval przybywa do komisarjatu i rozkazuje sobie otworzyć celę Maja. Wchodzi do niej i.... ci dwaj ludzie poznają się. Gdy byli sami, nastąpiłoby wyjaśnienie jakieś i wtedy rzeczy inny wzięłyby kierunek, niewątpliwie. Mieli jednak świadka, sekretarz przecież towarzyszył sędziemu... Nie przemówili więc jednego do siebie słowa. Sędzia dla pozoru jedynie zadał obwinionemu parę nic nie znaczących zapytań i wyszedł, by w kwadrans potem „złamać nogę", więzień zaś, straszliwie pomieszany, zaledwie był zdolen, z pewnością, do dawania odpowiedzi, a następnie, pod wpływem wstydu i wściekłości, zdecydował się na śmierć samobójczą.

Pan d'Escorval, jak się okazuje z jego postępku, jest widać człowiekiem bardzo uczciwym, jeżeli nie chciał być sędzią człowieka, którego nienawidził.

— Więc pan sądzisz — zawołał Lekok żywo — że pan d'Escorval i ów Maj rzekomy są nieprzyjaciółmi?

— Do pioruna — zawołał mały człowieczek swym ostrym i piskliwym głosem — czyż fakty, najbardziej choćby oczywiste, nie mają dla ciebie wymowy słów? Gdyby byli przyjaciółmi oni, to sędzia uchyliłby się od prowadzenia sprawy i w ten sam zupełnie sposób odegrał swą komedję, lecz Maj nie miałby potrzeby wtedy się dusić!

Głos Fabareta zabrzmiał w tem miejscu głosem tryumfu, czuł bowiem, że zobaczyć to wszystko oczyma duszy nie każdy by potrafił. Po krótkiej chwili jednakże, zmieniając odrazu ton i postawę, dodał swym zwykłym już skrzeczącym głosem:

— Takie jest moje oto zdanie.

Stary Nalewajka wyprostował się, przejęty krańcowem uwielbieniem.

— Do kroćset!... zawołał — tak właśnie być musiało!

Lekok milczał, lecz i po nim poznać było można, że wywody Fabareta ogromne na nim zrobiły wrażenie. Znając dokładniej sprawę, miał on możność lepszego, aniżeli jego kolega, ocenienia tego szybkiego i cudownego zaiste opracowania wywodu śledczego.

Przez czas dłuższy ojciec Fabaret rozkoszował się tymi dwoma rodzajami podziwu, tak różnymi, lecz jednako dla niego miłymi, aż wreszcie się odezwał:

— Wywody te może cię nie przekonały jeszcze, mój synu? A więc przypomnij sobie, jak to pan d'Escorval bezustannie przysyłał do pana Segmulera swego służącego, ażeby ten się dowiedział o przebiegu śledztwa. Wiem dobrze, iż każdy nabiera w końcu zamiłowania do pracy, jakiej się oddawał i oddaje, nie do tego jednak aż stopnia by się interesować pracą tych, którzy teraz robią to, co on miał właśnie robić. Pan d'Escorval, dzięki swej chorobie porzucił śledztw kilkanaście z pewnością. Czy miał wszystkiemi się interesować tak bardzo, jak się sprawą Maja zainteresował? Niepodobieństwo. Tak więc nie może być najmniejszej wątpliwości, iż ci dwaj ludzie się znali i że się wzajemnie nienawidzą.

I wielka szkoda, mój synu, że na te fakty złamania nogi i usiłowanego samobójstwa nie zwróciłeś baczniejszej uwagi. Tam była nitka, po której doszedłbyś napewno do kłębka.

Lekok pochylił powtórnie w milczeniu głowę, jak uczeń skarcony, lecz nie oponował.

W trakcie tego Fabaret nalał sobie pełną szklankę ziółek, a następnie wychylił ją z wyrazem dużego obrzydzenia.

Otarł potem usta i zaczął mówić:

— Powiem ci też mimochodem, mój chłopcze, i to jeszcze, że zrobiłeś bardzo źle, nie wydobywając z „cnotliwej Annetki" wszystkiego, co jej tylko było wiadome w tej sprawie, natychmiast, na gorąco. Trzeba zawsze drzeć łyko, mój drogi, póki się daje... znasz przecie to przysłowie chyba? A przysłowiami nie należy nigdy gardzić, bo są mądrościami narodu przecież...

— Ach, panie Fabaret — powiedział Lekok z wyrazem głębokiego cierpienia — tego nie miałeś potrzeby mi mówić. Całe życie pamiętać będę o tem, że nie należy w żadnym wypadku pozwolić odejść świadkowi dobrze usposobionemi, przed wyciśnięciem go, jak cytryny.

— Niestety, daleki jest koniec mojej krytyki jeszcze. Żal mi cię, muszę jednak i to powiedzieć ci na dokładkę, że ze trzy, lub cztery razy miałeś sposob ność wyświetlenia całej tej sprawy.

Po raz pierwszy przeholowałeś, gdy robiłeś poszukiwania z kolczykiem. Robiłeś wiele, przyznaję ci to, nie zrobiłeś jednak wszystkiego. Gdy się przekonałeś ze spisu rzeczy, sprzedanych po zmarłej baronowej von Watchau, że owego klejnotu nie było w spisie, na tem poprzestałeś.

— A cóż mogłem zrobić więcej?

— Pomyśleć przedewszystkiem, co się z nim w takim razie stało? Doszedłbyś wtedy bardzo łatwo do wniosku, że baronowa owa nie miała go już w chwili swej śmierci. Co więc z nim zrobiła? — Dała go lub sprzedała. Jeżeli tak, to komu? Nie jubilerowi, bo na to, by sprzedawać swe brylanty, była za bogata, lecz jednej ze swych przyjaciółek z pewnością.

Otóż będąc na twem miejscu, wywiedziałbym się o nazwiska wszystkich przyjaciółek baronowej, co tak bardzo trudnem nie byłoby znowu, a następnie postarałbym się wejść w stosunki, o ile by się dało, jak najbliższe, ze wszystkiemi garderobianemi tych przyjaciółek. Dla tak ładnego jak ty chłopca i to nie byłoby zbyt trudne, ani ponad siły... młody przecież jesteś...

Projekt prowadzenia tego rodzaju śledztwa przypadł ogromnie do smaku nawet staremu Nalewajce.

— Eh!.. eh!.. zawołał, śmiejąc się głośno — w tem to i ja gotów byłbym mu pomagać.

Pan Fabaret tej strony zadania nie pogłębiał jednak.

— Że też to — ze złością zawołał Lekok — myśl taka nie przyszła mi do głowy!

— Czekaj, czekaj!... nie na tem się kończy lista twoich grzechów! Jakże to postąpiłeś sobie, gdy dostałeś do swych rąk walizę, o której ów Maj mówił, że przywiózł ją do Paryża? Oddałeś ją temu tak przebiegłemu więźniowi! Do kroćset!... Cóż ty zrobiłeś takiego!

— A jakżeż postąpić miałem?

— Należało wziąć rzeczy w walizie się znajdujące i obejść z niemi wszystkie sklepy z gotowemi ubraniami, od okolic Dworca Pó'nocnego poczynając, z zapytaniem, kto je kupował? I możesz być pewien, że w dziesiątym, a najdalej w sklepie pięćdziesiątym usłyszałbyś odpowiedz: „Te wspaniałe garnitury, według miary dostarczonej, kupował przed dwoma dniami zaledwie, jegomość tak a tak wyglądający, który rzeczy te rozkazał odesłać tu a tu". I tym sposobem bardzo łatwo byś dotarł do wspólnika.

W wybuchu niepohamowanego gniewu na samego siebie, Lekok uderzył się silnie pięścią w głowę.

— Przekleństwo! — zawołał — też to było takie proste! Ach, nigdy sobie nie daruję tej mojej głupoty!

— Głupota... Nie! Zbyt silne jest to określenie — zaprzeczył Fabaret pobłażliwie — to było roztrzepanie tylko, nieuwaga... I do wybaczenia nawet. Cóż?... młody jesteś, jak ci to już mówiłem. Czyż dziwić się więc można, że ci brakuje doświadczenia?... Na bardziej surową naganę zasługuje za to twój sposób polowania na więźnia, po jego, za twą wiedzą, ucieczce...

— Niestety!... szepnął młody policjant zupełnie złamany — a jednak jeden Bóg wie tylko, jak bardzo w pogoni tej z sił zostałem wyzuty.

— Za wiele robiłeś, chłopcze, za wiele. Robiłeś za dobrze, zapominając, że lepsze jest nieprzyjacielem dobrego. I to ci właśnie mam do zarzucenia. Po djabłaż ci było na przykład iść krok w krok za Majem, jakbyś był przeciętnym „łapaczem", niczem więcej!?

Tym razem Lekok już się nie zdziwił, ale wręcz osłupiał.

— A cóż robić miałem — zapytał — puścić go wolno, ażeby mi znikł bez śladu?

— Nie, ale gdybym ja był przy tobie, gdy ty znajdowałeś się pod kolumnadą Odeonu i tak bystro (o, bo ty jesteś bardzo spostrzegawczy i zdolny, mój synu) odgadłeś zamiary więźnia — rzekłbym ci wtedy: „Słuchaj, chłopcze, ten człowiek śpieszy, w co nie można wątpić, do Mullerowej, powiadomić ją, iż udało mu się uciec. Niechże sobie idzie z Bogiem, lecz gdy z właścicielką hotelu się on już rozmówi, to wtedy uczep się Mullerowej właśnie, jej nie spuszczaj z oka, a już ona cię doprowadzi z pewnością do owego wspólnika, to jest do klucza zagadki.

— I byłaby mnie do niego doprowadziła! Tak, widzę to teraz z całą jasnością!

— Zamiast tak postąpić, cóż ty uczyniłeś?!' Popędziłeś do hotelu, w którym

poruszyłeś Mullerową, a następnie wystraszyłeś chłopca. Kto na ryby sieci zakłada, nie bębni nad jeziorem...

Lekok milczał zgnębiony, więcej — zdruzgotany.

— I tak oto, mój chłopcze, spotkało cię niepowodzenie. Twoje pierwsze kroki, na początku śledztwa, były genjalne, ujawniły one bezwarunkowo twój wyższy umysł i zdolności, a jednak ci się nie udało. A dlaczego? Boś się nie trzymał wiernie zasady: „Nie dowierzać prawdopodobieństwom".

Lekok miał już jednak dosyć nauk, aczkolwiek czuł i zdawał sobie z tego sprawę, iż pogłębiły one bardzo jego umysł. Ponosiła go żądza czynów.

— Dzięki ci, ojcze Fabaret, za twe rady, nauki i dobre słowa, za całą twą życzliwość — powiedział — uratowałeś mi życie, bo byłem już na dnie rozpaczy, nie widząc wyjścia z mego położenia. Teraz dzięki twym wyjaśnieniom, widzę, że nie wszystko jeszcze stracone. Mam przecież jeszcze kolczyk, a pani Muller ciągle jeszcze jest właścicielką Marienburskiego hotelu. Będę więc ją śledził i znajdę właścicielkę kolczyka.

— I cóż ci z tego teraz przyjdzie, mój drogi?

— Jakto co?... Odnajdę tym sposobem mego więźnia.

— Odnajdziesz?... Przecież ty wiesz i bez tego dobrze, gdzie on jest teraz, a nawet — jak się nazywa.

— Ja?... A to skąd?.. niepewnym głosem powiedział Lekok.

Przebiegły uśmiech wykwitł na pomarszczonej twarzy „Proroka".

— Nie kłam. Wiesz tak dobrze jak i ja, że twój były więzień, który Majem się mianował, mieszka teraz na przedmieściu St. Germain, w swym własnym pałacu przy ulicy Grenelle i nazywa się księciem de Sairmeuse.

Na te słowa Nalewajka głośnym wybuchnął śmiechem.

— Wolne żarty! — zawołał.

Lekok jednak był od śmiechu bardzo daleki.

— Panie Fabaret — powiedział poważnie — myśl ta błąkała się w mym umyśle, odrzucałem ją jednak, jako nazbyt niedorzeczną.

— Zbyt ci się wydaje nieprawdopodobną... Acha!... Lecz w takim razie, cóż zrobisz z tą swoją tezą: nie ufania prawdopodobieństwom? Słuchajże więc, co ja ci powiem:

— Wydaje się być nonsensem, ażeby morderca z szynkowni wdowy Szupe mógł być księciem de Sairmeuse — a zatem jest on nim niewątpliwie.

XLII.

Jakim cudem myśl podobna narodzić się mogła w głowie ojca Fabaret?... Lekok nie mógł tego pojąć.

Że on sam ją powziął, po rozmowie z Couturierem — wytłumaczyć jeszcze było można. Przecież on połowę nocy spędził w książęcym pałacu w poszukiwaniu zbiega i o jego osobę się ocierał... Ale ojciec Fabaret rzecz znał z opowiadania przecież tylko?...

Ojciec Fabaret na to zdziwienie młodego ajenta nie raczył zwrócić uwagi nawet. Odwrócił się natomiast do Nalewajki i rzekł do niego przyjaznym tonem:



Jeden z prześlicznie położonych zamków nad Renem — który w najbliższej przyszłś i zostanie odrestaurowany i oddany do użytku młodzieży jako schronisko

Zrób mi tę przyjemność, stary, idź do mej, za temi oto drzwiami się znajdującej bibljoteki i przynieś mi wszystkie tomy „Biografji ludzi współczesnych". Znajdziesz je w szafie na lewo.

Nalewajka bardzo szybko wykonał dane mu polecenie, a wtedy Fabaret wziął do ręki tom drugi, otworzył go na literze „E", a wodząc palcem od góry do dołu, zaczął głośno, jak to zazwyczaj robią ludzie szukający w dykcjonarzu wymawiać wyrazy: „Esbaryon"... „Escars"... „Escher"... jest nareszcie: „Escorval!"

Tutaj zwrócił się do Lekoka.

— Posłuchaj mnie dobrze — powiedział — mój synu, a światło spadnie niewątpliwie na twój umysł.

Lekok tej zachęty nie potrzebował najzupełniej. Natężył z całej mocy swój słuch i cały drżał z tłumionego podniecenia.

Człowiek zaś głosem urywanym czytać zaczął:

„Escorval (Ludwik - Wilhelm baron d'E.), deputowany. Ur. się w Montaignac dn. 3 grudnia 1769 r., ze starego rodu sądowników. Nauki skończył w Paryżu. Gdy rewolucja wybuchła przystąpił do niej, lecz wkrótce, zrażony nadużyciami, jakie w imię wolności były robione, przeszedł na stronę reakcji. Oddany całą duszą cesarzowi, był skompromitowany tak silnie, w czasie drugiej restauracji, w czasie zamieszek w Montaignac został obwiniony o zdradę stanu i skazany na śmierć, wyrok jednak nie został wykonany, dzięki poświęceniu jednego duchownego, niejakiego księdza Middona, proboszcza we wsi Sairmeuse, który z narażeniem własnego życia go ocalił. Baron Ludwik ma jednego syna, który bardzo młodo wszedł do służby państwowej."

Na tem Fabaret zakończył czytanie. Rozczarowanie Lekoka było niezmierne.

— Rozumiem, iż jest to życiorys ojca naszego sędziego — powiedział — nie pojmuję jednak, co może mieć on wspólnego z naszą sprawą?...

Tajemniczy uśmiech błąkał się po ustach „Proroka".

— Niema on nic ze sprawą nas obchodzącą wspólnego?... Zapewne. Dowiedzieliśmy się jednak, że ten ojciec był najpierw rewolucjonistą, następnie bonapartystą, a także — iż był skazany na śmierć i to w okolicach zamku Sairmeuse, w dodatku. Nie są to szczegóły bez znaczenia i byłoby lekkomyślnością przejść nad nimi do porządku dziennego, bez głębszego ich zbadania.

Zanim jednak do tego przystąpimy, zajmijmy się historją rodu książąt Sairmeuse.

Zaczął przewracać znowu karty, a następnie czytać ponownie:

„Sairmeuse (Anna-Marja-Wiktor de Tingry książe de) Mąż stanu i jenerał. Ur. na zamku Sairmeuse, w pobliżu wsi Montaignac, dn. 17 stycznia 1758 r. Ród jeden z najstarszych we Francji i najbardziej arystokratyczny. Po wybuchu rewolucji opuścił kraj, przyczem odznaczył się wyjątkową odwagą w wojsku Kondeusza, a następnie w rosyjskiem, do którego wstąpił w chwili, gdy Napoleon szedł na Moskwę. Z dojściem do władzy Burbonów wrócił do Francji, jako jeden z najbardziej zagorzałych rojalistów. Zwrócono mu wtedy wszystkie dobra i przyznano wszystkie wojskowe stopnie, jakie wysłużył za granicą. Obdarzony przez króla nieograniczonemi pełnomocnictwami uspokoił kraj bardzo szybko, ujawniając jednak taką bezpardonową surowość, że spotkała się ona z potępieniem członków jego własnego stronnictwa nawet."

Oczy Lekoka promieniały.

— Djabli! — zawołał — teraz widzę jasno. Ojciec dzisiejszego księcia de Sairmeuse chciał ściąć głowę ojcu naszego pana d'Escorval!

Ojciec Fabaret łagodnie się uśmiechnął.

— Widzisz teraz mój drogi — powiedział — że jednak i historja na coś przydać się może. Ale ja nie skończyłem jeszcze, ponieważ i nasz pan pseudo Maj ma tutaj o sobie wzmiankę. Posłuchaj tylko:

„Sairmeuse (Anna-Marja-Marjusz de Tingry książe de). Ur. się w Londynie w 1791 r., wychowywał się początkowo w Anglji, a następnie na dworze austrjackim, przy którym pozostał potem w charakterze urzędnika do poszczególnych poruczeń. W służbie tej ujawnił wysoką inteligencję i wyjątkowe zdolności. W walkach politycznych wykazał krańcową bezwzględność, czemu zawdzięcza, iż został zmuszony usunąć się wreszcie, znienawidzony ogólnie."

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

NA FAL BŁĘKICIE

Wolno sunęła moja łódź,
Strudzone spoczywały wiosła,
a w cichą dal, błękitną dal —
cisza myśl moją niosła.

Powierzchnie wody marszczył wiatr,
roztrącał lśniących wód opale...
i pędził het — na drugi brzeg;
w sitowiu załkał żalem.

Za nim pobiegła moja myśl,
Za myślą goniła tęsknota,
a słońca krąg, wprost do mych rąk
rzucał przędziwo złote...

Lecz wiatr swawolny stargał je,
z rąk wydarł, porozwieszał w trzcinie
i szmerem fal, co biegły w dal,
wyszeptał — Twoje imię.

„Jadźka z Kujaw.“

PRZYZNAJĘ RACJĘ

„Takie małe coś z loczkami.“ Tak, masz rację, mój Kochany, Złoty Chochliku, że fałszywą opinją ludzką nie warto się przejmować. Wystarczy, że posiada się czyste i spokojne sumienie.

Zdjęcia ogromnie mi się podobały. Po obejrzeniu, zgodnie z życzeniem, oddałam je Wujkowi Januszowi, który z kolei w najbliższych dniach przekaże je Pani spowrotem.

NIE ROZUMIEM

„Tuberoza.“ Tym razem pseudonim Pani bardzo mi się podoba.

Nie rozumiem, dlaczego Pani, z powodu braku wyższego wykształcenia, tak bardzo się martwi. Przecież wszystkie kobiety nie potrzebują koniecznie mówić obcymi językami, aby stanowić wartość i pożytek? Prawda, że i takie są potrzebne, ale czyż kobieta szlachetna pełna godności, wypełniająca wiernie należne do niej obowiązki, nie przedstawia żadnego znaczenia? Ależ zapewniam Panią, że zasługuje ona na taki sam szacunek, jak i inna, posiadająca maturę lub uniwersytet. Proszę więc, niech Pani porzuci wszelkie urojenia i skrupuły i będzie zawsze pełna poczucia swej wartości.

Widzę, że rozpisałam się, zapominając, że prosi Pani o przedstawienie Jej „Rodzince“. A więc króciutko: „Tuberoza“ to 21-letnia ciemna blondynka o dużych, smutnych oczach. Chyba każdy mi przyzna, że nasza nowa Sympatyczka posiada ujmujące cechy?

SPEŁNIJMY ŻYCZENIA

„Mała Pieszczotka“ chciałaby należeć do naszej „Rodzinki“ i również nawiązać z kimś korespondencje. Pierwsze życzenie Jej już spełnione, a drugiemu, mam wrażenie, uczynią zadość rycerscy Sympatycy „Krainy“ i zawsze chętne, milutkie Sympatyczki.

Oto co pisze o sobie „Mała Pieszczotka“: „Jestem młodą blondynką o szarych, marzących oczach, średniego wzrostu. Mieszkam na Pomorzu, w małem, ślicznie położonem miasteczku. Posiadam bardzo wesołe usposobienie, ale czasem jest mi również smutno.

Przesyłam pozdrowienia: „Wesołej Andziulce“, Wesołemu Stefkowi z Grudziądza“ p. Teosiowi, Witkowi i Julkowi z Nieponi.“

W NASTĘPNYM NUMERZE

„Pomorzanka z nad Wisły.“ Dzisiaj ja daję Pani odpowiedź w „Krainie“, zaś Wujek Janusz udzieli Pani w następnym numerze. Ponieważ prawie w całym liściku zwraca się Pani do Sympatyków „Krainy“, oddaję go do druku:

„Dziwi mnie bardzo, że „Biała Uajali“ tak długo nie odpowiada na mój liścik, czyżby go nie odebrała? Przesyłam równocześnie pozdrowienia: „Samotnej Klarucie“, — „Żeni niewolnicy smutku“ — „Cygance z gondoli złudy“ — „Białemu Murzynowi“ — p. Romanowi R. — „Ben-Ali“ — „Fata morganie“ — „Hordowi“ — „Podoficerowi“ — „Robinsonowi“ — „Czarnemu Olkowi“ i „Hieronimowi z Gołaszewa.“

TROCHĘ DYSKUSJI

„Ena“. Poruszone przez Pana problemy, natchnęły mnie do „ucięcia“ z Panem maleńkiej dyskusji. Pisze Pan między innemi: „że dzisiejsze czasy są dla nas młodzieży bardzo trudne do przebycia, bowiem nie wiemy po jakiej linji iść przez życie, gdzie na każdym kroku spotkać można pełno zapor i przeciwności“...

Słowom Pana przyznaję rację. Istotnie! warunki życiowe są teraz bardzo trudne, ale i one mają swoją dodatnią stronę. Mianowicie wyrabiają, jak Pan słusznie zauważył hart w człowieku i uczą go samodzielności. I dlatego prawdopodobnie młodzież dzisiejsza posiada takie trzeźwe zapatrywania i znakomicie nieraz sobie radzi w życiu. Weźmy choćby studentów. Iluż wśród nich jest takich, którzy nie otrzymują ani grosza z domu, dawają lekcje, pracują gdzieś prywatnie w biurach, nie dojedzą i nie dośpią, ale się nie załamują, dążąc wytrwale do celu. A potem, po zdobyciu dyplomu ileż ich czeka jeszcze zawodów i goryczy, zanim zdobędą jaką taką posadę. Ale ludzie ci to element najszlachetniejszy. Posiadają charakter, kierują się własnem doświadczeniem i nigdy się nie sprzeniewierzają zasadom, jakie w sobie wyrobili. Niema więc, gdy się głębiej zastanowimy, prawie, że żadnej na świecie rzeczy, którąby nie przynosiła ludziom, choć w drobnej mierze pożytku.

A teraz kończę już polemikę, pamiętając o tem, że jeszcze tyle listów czeka na odpowiedzi. Dalsza korespondencja z Panem sprawi mi jak największą przyjemność.

CZY SPEŁNIĄ SIĘ MARZENIA?

„Śpiewający Błazen“. Dziękuję Panu za list, a przedewszystkiem za pamięć. Cieszyłabym się bardzo, gdyby się marzenia Pana spełniły i nawiązana korespondencja przynosiła Panu prawdziwe zadowolenie. Sądzę, że w następnych listach nie zapomni mi Pan coś o tem napisać? Łączę wyrazy serdeczności i szczere pozdrowienia.

DOMYSŁY NIE ZGADZAJĄ SIĘ Z PRAWDĄ

„Jastrzębicz.“ Fotografja, zamieszczona w nr. 34 na okładce, nie przedstawia podobizny autorki, zamieszczonego niżej wiersza. List może Pan przesłać autorce za mojem pośrednictwem. Pewną jestem, że sprawi jej Pan tem dużą przyjemność.

Za przesłane pozdrowienia dziękuję. Załączone dla „Jadźki z Kujaw“ wraz z uznaniem za wierszyki — przekazuję.

WIADOMOŚCI UCIESZYŁY MNIE

„Wesoła Dziunia“. Wiadomości, zawarte w liściku Pani ucieszyły mnie bardzo. Oby więcej takich.

A teraz uwaga „Bławatku z pod Śremu“! Mam polecenie od „Wesołej Dziuni“ pociągnąć Cię za uszko, abyś o Niej pamiętała i pisywała częściej liściki. Czy zgoda? A także mam pozdrowić w imieniu „Wesołej Dziuni“: „Samotną Gwiazdeczkę“ — „Gwidona“ — „Demona“ — „Pacola“ no i „Bławatka z pod Śremu.“

NOCĄ

Czasem wieczorem, sam, z głową podpartą,
Siadam przy oknie szeroko otwartem,
A myśl ma hyża, jak mara skrzydlata,
Sunie w przestworza, w głuchą bezkres świata.

Czasem w zadumie, cichy, rozmarzony,
Ku niebu mój wzrok śle senny, zmęczony,
Patrzę na księżyc i gwiazdy iskrzące
I na leniwie hen chmury płynące.

Czasem się znowu cały w słuch zamienię,
Słucham co szepcą tajemnicze cienie,
Co mówią kwiaty, łąki, rzeki, drzewa
I o czem słowik w gąszczach ciemnych śpiewa.

I tak mi długo płyną słodkie chwile
I myśli lecą, jak barwne motyle
Hen, gdzieś w przestworza, w świat ciemny szeroki,
Aż mnie utuli sen błogi, głęboki.

„Ord-Om.“

DZIĘKUJĘ!

„Swojaczek“. Byłabym bardzo zadowoloną, gdyby się Pani dobrze czuła w naszem gronie i od czasu do czasu napisała mi kilka słów, tak szczerze i otwarcie, jak tyle, tyle innych Pań pisuje.

Za nadesłane wierszyki dziękuję w imieniu Wujka Janusza i swojem, jednakże nie zamieszczam ich z powodu pewnych niedociągnięć w układzie. Pozdrowienia, załączone dla „Dumnego Lwa“ przekazuję i dziękuję osobno za mile pozdrowienia przesłane całej redakcji i wzruszające życzenia.

WESOŁA, NOWA SYMPATYCZKA

„Rysia“ jest młodziutką szatynką o szarych oczach i bujnych włosach. Uwielbia muzykę i uprawia sport, a szczególnie: jazdę na rowerze, pływanie i łyżwiarstwo. Jest bardzo wesołą panienką i dlatego chciałaby poznać również kogoś pogodnego i pełnego radości życia. Przesyła pozdrowienia p. Hinkowi L. i prosi go o skreślenie kilku słów.

ZAPYTANIE

„Tęsknota“ pyta co się stało z „Samotnym Stasiem“? Ponieważ nie umiem Jej odpowiedzieć na powyższe pytanie, zwracam się do wymienionego Sympatyka, aby zechciał wytłumaczyć zainteresowanej przyczynę swego uporczywego milczenia.

A MOŻE PAN SAM WINIEN?

„Moppa“. Drogi Panie! Żal Pana, spowodowany niepowodzeniem, jest niesłuszny. Kto wie, czy Pan sam nie zawinił w tym wypadku, gdyż prawdopodobnie dość duże wymagania Pana wielu odstręczyły od podania oferty. Załączone pozdrowienia dla „Milutkiej Janeczki“, wraz z prośbą o napisanie kilku słow — przekazuję.

NADZIEJA

„Milusia J.“ twierdzi, że miło jest odczytywać liściki przesyłane pod moim adresem, lecz o wiele większą przyjemnością jest czytanie listów pisanych do siebie. Pociesza się również nadzieją, że znajdzie się wreszcie ktoś, co napisze do Niej milutki liścik.

Przesyła także pozdrowienia „Szatynowi 31“, którego króciutki apel bardzo się „Milusi J“. podobał.

„BRAK TYLKO MNIE“...

„Mały Trzpiot“. Pseudonim Pani trochę zmieniłam, gdyż w pierwotnem brzmieniu nie bardzo mi się podobał. Trochę dowcipny liścik Pani oddaję w całości do przedruku:

„Kochana Pani Zosiu! Prawie, że wszyscy już zagościli w „Krainie“, tylko mnie tam jeszcze niema. Czy dotychczas nikt nie zauważył, że mnie brak? Zapewnie! Nie namyślając się więc długo, proszę i ja o przyjęcie do „Rodzinki“. Choć nie jestem bardzo znośna, postaram się jednak po przyjęciu być grzeczną. Bardzo lubię czytać „Moje Powieści“, a szczególnie „Krainę szczerości“. Lubię również marzyć. Możeby do mnie ktoś napisał, a może by ktoś poświęcił mi wierszyk? Potrafię okazać wdzięczność!“

„PRAGNĘŁABYM SKIMŚ KORESPONDOWAĆ"...

„Lilka". Oto co pisze „Lilka": Kochana Pani Zosienko. Proszę o przyjęcie mnie i przedstawienie Siostrzyczkom i Braciszkom miljonowej „Rodzinki" Pani. Jestem wzrostu średniego, mam twarz pociągłą, włosy czarne, oczy piwne i jestem bardzo wesołem stworzeniem. Ukończyłam Polskie Liceum Handlowe, ale nie w Polsce. Obecnie jestem urzędniczką samorządową w małem miasteczku na Pomorzu, daleko od rodziców. Nudzę się bardzo, bo nie mam tutaj żadnych znajomych. Tak bardzo pragnęłabym z kimś korespondować. Może któraś z miłych Pań lub któryś ze sympatycznych Panów napisze do mnie? Chętnie odpowiem na każdy nadesłany liścik. Ślę serdeczne pozdrowienia dla p. Maryli W., „Dusi" — „Leśnej Rusałki" — „Gwidona" — oraz dla „Selimana — Paszy". Dla „Puera osobne pozdrowienia, wraz z prośbą o liścik, na który dam natychmiast odpowiedź".

NIE ZAWIODĘ

„Amerykanka II." „Gdy mnie dotknie zły los, zwrócę się do Pani"... piszesz mi w swoim liściku, Kochana Dziewczynko. Bądź pewna, że tej ufności we mnie pokładanej nie zawiodę nigdy.

Dlaczego tym razem liścik taki krótki? Chyba następny będzie już dłuższy?

KORESPONDENCJA

„Śpiewający Słowik". Powieść „Wśród warjatów" jeszcze pewien czas się pociągnie. Za uściski serdecznie Pani dziękuję i zgodnie z życzeniem zwracam się do „Zeni z lasów" — „Dusi" — „Szatyna 31" i „Głosu z puszczy", aby zechcieli nawiązać korespondencję z „Śpiewającym Słowikiem".

BARDZO CHĘTNIE!

„Genia z nad Wisły". Naturalnie! Prośbę Pani spełnię bardzo chętnie. A więc najpierw przyjmuję Panią do naszego grona, a następnie przedstawiam ją Sympatykom: „Genia z nad Wisły" to 20-letnia, wysoka blondynka, marzycielka. Mieszka na wsi, w której daje się odczuć brak odpowiedniego towarzystwa, dlatego pragnęłaby nawiązać skimś korespondencję.

CZYŻBY PESYMIZM?

„Cyganeczka". Dlaczego, Kochanie, napisałaś te smutne słowa w liściku do mnie?:... „może kiedyś moje złote marzenia znikną, a ja schylę głowę, jak te kwiatki, które umierają dzisiaj z braku deszczu"..... Czyżbyś była pesymistką? Niemożliwe! Taka młoda panienka, jak Ty, powinna jasno patrzeć w przyszłość, a nie chmurnie i czarno. Myślę, że się poprawisz i porzucisz wszystkie urojenia?

Listy wysłałam, a odpowiedź dla Koleżanki daję również w dzisiejszym numerze. Całuję buzię i czekam na nowe wiadomości.

ODDAJĘ DO DRUKU

„Duszyczka". Nadesłany wierszyk podoba mi się, gdyż jest bardzo miły. Oddaję go niżej do druku:

I NASZA BAJKA SIĘ SKOŃCZYŁA...

„Leśnemu Dębowi" — poświęcam.

W wyrębie leśnym, pośród traw więdnących,
Gdzie śpiewy ptaków płyną w jednym splocie,
W ostatnich lata odblaskach gorących,
Pamiętasz, drogi, rwaliśmy paprocie.

Choć jeszcze lato, choć jeszcze dzień cały
Słońce grzać będzie... więdną kwiatów kiście,
A z brzóz już lecą, na dywan wspaniały
Z cichym szelestem pierwsze, zeschłe liście.

Bajka się kończy, jak wszystko na świecie
Szczęście trwa krótko, koniec smutny bywa
I nasza bajka skończyła się przecie,
Chociaż w pamięci pozostanie żywa.

„Duszyczka."

KRÓTKO I ZWIĘŹLE

„Arabka" prosi bardzo krótko o przyjęcie do „Krainy" i podaje króciutki apel: „Chciałabym poznać kogoś z Czytelniczek lub Czytelników „Moich Powieści..." Czy moja prosta prośba pozostanie bez echa? Ślę pozdrowienia: „Jadźce z Kujaw", „Kalinie" i „Wenus."

W POSZUKIWANIU PRZYJAŹNI

„Ida". Liścik Twój, Kochana Dziewczynko, oddaję w całości do druku i myślę, że nie weźmiesz mi tego za złe? „Kochana Pani Zofjo! Z całego serca dziękuję, że raczyła Pani umieścić na łamach „Krainy" mój liścik. Również jestem Pani bardzo wdzięczna za przyjęcie do „Rodzinki". Zwracam się do Kochanej Pani z prośbą o zapoznanie mnie z jakimś szlachetnym Panem. Pragnę w ten sposób znaleźć sympatycznego przyjaciela, by za pomocą korespondencji z człowiekiem kulturalnym, poważnie myślącym, skrócić szalenie nudne dni nadchodzącej jesieni. A teraz, Kochana Pani Zofjo przesyłam na Twoje ręce pozdrowienia i to dla: „Ena" — „Szatyna E. S." — „Pokutnika" i „Szatyna 31", oraz podziękowanie dla „Szatyna 22" za pozdrowienie. Może powyższi Panowie zechcieliby napisać choć krótki, lecz szczery liścik, na który dam szybką odpowiedź".

APELUJE DO SYMPATYKÓW

„Nygus". Pozwoliłam sobie nieco zmienić apel Pana, gdyż w oryginalnem brzmieniu napewno odstręczyłby chętnych od skreślenia do Pana listu. Kategorje ludzi są różne: może niejedni poznaliby się na dowcipie, ale drudzy napewnoby słowa Pana poczytali za prawdę. Proszę więc tylko w imieniu Pana, aby ktoś obdarzył miłym liścikiem zawsze pełnego humoru młodziana, blondyna średniego wzrostu, kryjącego się pod dziwnie brzmiącym pseudonimem, który wprowadzi zapewnie niejednego w błąd, że właściciel jego to wielki leniuszek.

NA KAŻDY LIST ODPOWIEDŹ

„Sztubaczka z Bydgoszczy". Jeżeli Pani nie dawałam odpowiedzi w „Krainie" to tylko dlatego, że listu nie odebrałam.

A teraz oddaję krótki urywek z listu Pani do druku, gdyż dowiemy się z niego trochę o Pani:

„Jestem blondynką o niebieskich oczach. Cieszyłabym się, gdyby ktoś do mnie napisał z tak licznej „Rodzinki". Na każdy, każdy list — odpowiedź „murowana".

POWÓD PODANIA APELU

„Boginka". Dzisiaj muszę Pani wyjaśnić dlaczego dawałam apel w „Krainie" do Sympatyka, o którego Pani chodziło. A więc drugi list Pani otrzymałam do rąk nieco późno i dlatego, pomimo, że nie życzyła sobie tego Pani, apel podałam.

Za tysiące pozdrowień dziękuję najserdeczniej i odwzajemniam je taką samą ilością uścisków.

ŻYWIĘ NADZIEJĘ

„Ben - Ali." Życzenie Pana zostało spełnione — list powędrował wkrótce w dalszą drogę.

Pełne życzliwości słowa Pana ujęły mnie bardzo, tylko... czy nie przecenia mnie Pan?... Pomijając jednak to, ściskam serdecznie na pożegnanie Panu dłoń i żywię nadzieję, że wkrótce „Ben - Ali" znowu do mnie napisze.

Teczka Wujka Janusza

CHCIAŁABYM...

Chciałabym w cichą, jasną noc,
Lecieć do Ciebie ptakiem,
Chciałabym śpiewać Ci piosenek moc —
Promiennym być Ci szlakiem.

Lecz w duszy, jakiś dziwny mrok,
Wstrzymuje moje wzloty,
Legł smutek na mój jasny wzrok,
I prysnął sen mój złoty...

Gdy jednak minie tęsknoty czas,
Zatonę w oczach Twych,
Szczęście obejmie znowu nas,
W gorących pieśniach mych.

Genowefa Jędryczkówna — Będzin.

UKAŻE SIĘ W JEDNYM Z NAST. NUMERÓW

„Te - Em." Jeden z wierszy Pana ukaże się już w następnym numerze. Kilka słów, przesłanych z Poznania, ucieszyło mnie bardzo. Widzę, że nie na żarty zabrałeś się do nauki, mój Młody Przyjacielu, ale pochlebia mi także to, że nie zapomniałeś o „Moich Powieściach."

Pozdrowienia załączone dla „Nygusa" przekazuję bardzo chętnie, a Panu ślę serdeczny uścisk dłoni.

MROK

Kochanemu Pawłowi.

Cisza... mrok zwolna na ziemię opada,
Melancholja na oczy me się kładzie
I znów o Tobie myśleć, tęsknić każe —
Choć znużenie członki wolno owłada.

Coś z dali płynie tajemne, nieznane,
Coś jak dalekie piosenki pośród gór —
To ptasząt słychać odlatujących chór,
Które odchodzą jesienią w świat gnane.

Odchodzą ptaki w dal cichą, nieznaną,
Gdzie oczy Twoje za kimś spoglądają,
Tam, gdzie się może nasze losy ważą,
Tam one biegną — w noc gwiazdami tkaną.

A wkoło cisza, mrok cichy i senny,
Wolniutko na polach szarych się tuli,
Mrok tajemniczy i tak dziwnie zmienny,
Który za Tobą myśleć wciąż mi każe.

Kazimierz Ruliński.

BRAK RYTMU

Gertruda Z. z W. Nadesłany wierszyk posiada bardzo dużo nastroju, jednakże jest w nim nieprawidłowy rytm. Musi Pani dużo czytać poezji, (radzę Kasprowicza, Konopnickiej, Asnyka lub Tetmajera) zanim napisze coś dobrego. Życzę Pani w tem wytrwałości i osiągnięcia w przyszłości wytkniętego celu. Czekam na nowe „próbki literackie" i ślę szczere pozdrowienia.

MOŻE PANI WYPOWIE SIĘ SAMA NA TEN TEMAT?

„Żądło." List Pani zaabsorbował mnie bardzo i pomimo, że nasuwa mi się wiele pomysłów, nie mogę znaleźć powodu, który wpłynął na silną depresję u Pani. Pocieszam się jednak nadzieją, że prędzej czy później obdarzy mnie Pani zaufaniem i napisze mi szczegółowo o swoich żalach?

Załączone wierszyki bardzo smutne, chociaż dobre. Nie zamieszczam ich jednak, gdyż w „Krainie" i w „Teczce" postanowiłem dawać tylko utwory pogodne, aby wlewały do dusz radość. Smutku na świecie teraz tyle, że zbytecznem byłoby szerzyć go nawet w utworach. Chyba mi Pani przyzna rację? A może sama wypowie się na ten temat?

Część listu, która dotyczy Sympatyków „Krainy" podaję niżej:

„Przesyłam serdeczne pozdrowienia „Tabu". Bardzo bym się ucieszyła, gdyby „Tabu" do mnie zechciała napisać chociaż maleńki liścik. Przy sposobności załączam także miłe pozdrowienia dla: „Bronki" — „Polnej Niezabudki" — „Opuszczonej Owieczki" — „Anity" — „Dumnego Lwa" i „Pokutnika." Ci ostatni stanowią w mej wyobraźni bardzo ciekawe typy.

ODŁOŻYŁEM DO TECZKI

„Iste - Wenus." Przypominam sobie Panią doskonale z odpowiedzi w „Krainie", dawanych przez P. Zofję i może właśnie dlatego, ucieszyłem się, że napisała Pani i do mnie, przesyłając pozdrowienia dla: „Białej Uajali" — „Kajtusi" — „Leśnej Rusałki" — „Dzinki" — „Stelli Maris" — „Słodkiej Psyche" i „Księżniczki Dari", oraz dwa wierszyki, których ocenę podaję niżej:

Wierszyk: „Trochę słońca" — banalny. Znalazł miejsce w koszu, natomiast drugi: „Czy pamiętasz" odłożyłem do teczki. W wolnej chwili poprawię w nim wszelkie usterki, których nie brak tak w stylu, jak i w rytmie i przy sposobności go zamieszczę.

WIERSZYKI SŁABE!

„Puszczyk." Ostatni list Pana ucieszył mnie bardzo, gdyż zawierał pomyślne wiadomości. Jestem ogromnie zadowolony, że otrzymał Pan znowu posadę. Praca to skarb.. Pracując, zapomina człowiek o przykrościach i smutkach życia, czuje się jakby szczęśliwszy i pogodniejszy. Szczerze życzę, aby Pan przywiązał się do nowego otoczenia i czuł się w nowych warunkach pracy jak najlepiej.

Wierszyki, niestety, słabe. Myślę jednak, że to nie wpłynie ujemnie na humor Pana? Serdecznie pozdrawiam i ściskam Panu dłoń, Drogi Przyjacielu!

Raj kobiet

Płaszcze dla starszych, tęższych pań

Każda z pań wie doskonale o tem, że nie wystarcza wybrać sobie pierwszy lepszy fason sukienki lub płaszcza i dać go uszyć. Trzeba pomyśleć także o odpowiedniem do stosowaniu modelu do figury tęższej lub też szczuplejszej. A więc panie tęższe powinny pamiętać, że fasony ich płaszczy lub sukienek muszą posiadać nieskomplikowaną linję, bez żadnych zakładek i marszczeń, tak, aby sylwetka wydała się jak najbardziej, smukłą. Wyżej podane płaszcze są właśnie takiemi idealnemi modelami dla tęższych figur.

J 70 118 Elegancki płaszcz z czarnego rypsu odpowiedni dla starszej, tęższej pani. Wyłogi zaokrąglone i efektowny stojący kołnierz, oraz przybranie na rękawach podnoszą elegancję fasonu.

J 70 119 Nieskomplikowany model płaszcza z wełnianego, prążkowanego diagonalu o formie dostosowanej do tęższych figur. Brzegi ozdabiają stebnowania.

Kroje powyższe (Lyona) na być można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,90 zł przez P. K. O. 207 393.



J 70 118 J.70 119

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Nie wiem, czy wszystkie kochane Czytelniki wiedzą, że w zeszły piątek były jemieniny mojej żony — Geni. Dostała dużo powinszowań.

Żebyście nie myśleli, że zalewam kolejkie i pod bajer chce was brać, poprosiłem Redachtora, żeby kazał jedne takie powienszowanie na fotografji odrobić i w naszej kochanej gazecie kiedyś wyszczególnić. Jak wam się to podoba? Hazena jak pragnę jednej większej pod korniszon, no nie?

Ktoby się spoździał, że w takiem Wejherowie znajdą się faceci, co tę moją najsłodszą znają i wierszamy życzenia żonie złożą.

Żona jak to zobaczyła rozpłakała się z radości, a potem taka ważna się zrobiła, że nie chciała obiadu gotować i mieszkania sprzątać.

„Znana na świecie kobieta jestem — mówiła — za artystkie filmowe do kina Hollywood się zgodzę, po drekoracjach będę chodzić i forsę zarabiać. Poco się mam z takiem moczymordą jak ty męczyć!"

Narazie śmiać mnie się chciało z tego pyskowania, ale kiedy widzę, że ankoholiczne zarzuty mnie robić zaczyna, a obiadu jak niema tak niema, mówie do niej:

— Boginio piękności mojej, solenizantko szanowna, jeżeli nie weźmiesz się za garki, zamiast serdecznych życzeń zdrowia, szczęścia i wszystkiego dobrego, które właśnie miałem ci złożyć, obsztorcuję cię na perłowo,, jak w swojem czasie św. Michał djabła.

Niezależnie od tego prezent, który dla ciebie przygotowałem na lombard zaniesę, za Bóg zapłać opyle i forsę co do grosza samodzielnie przegazuję.

Żona jak to usłyszała odrazu innego fasonu nabrała. Z miejsca wzięła się za obiad i zaczęła koło mnie chodzić, jak kucharka koło strażaka. Największy kotlet dla mnie smaży, wódkie z jagodowem sokiem z szafki wytaszcza wogólności zaczyna mnie dogadzać pod każdem względem.

Mnie się śmiać chce, mało się tem kotletem nie uduszę, bo faktycznie nie miałem dla niej żadnego prezentu, a tylko tak na jury to sobie powiedziałem... Ale nic, opycham i patrze co z tego wyjdzie.

Po obiedzie żona mówi do mnie: „No dawaj ten prezent." Widzę, że będzie zła, znakiem tego przeprosiłem ją na parę minut i jazda na ulicę.

Poleciałem do szwagra i radzę go się co tu z tym fantem zrobić.

Szwagier mówi, że nima innego wyjścia tylko trzeba na kredyt coś wziąść i dać, a potem się zapłaci.

Zaczęliśmy sobie przypominać, gdzie możem co bez pieniędzy dostać i wyszło na to, że jesteśmy w stanie ofiarować jej tylko pomnik na grób rodzinny. A to dlatego, że szwagier ma za kolegie jednego faceta, któren zakład kamieniarski posiada.

A no jak niema czego innego, dobry i pomnik. Poszliśmy do tego kamieniarza, wybraliśmy sztukie, że na sam widok łzy nam w oczach stanęli. Na środku miejsce pod żałobny napis, po bokach dwa aniołki, a na froncie ma się rozumieć ławeczka, żebym miał na czem jako nieutulony w żalu wdowiec w Zaduszki siedzieć.

Jakżeśmy już wybrali jedziem do żony, żeby jej prezent pokazać. Nic nie mówiemy, żeby niespodzianka była większa i faktycznie była. Jak Genia przyjechała z namy do tego kamieniarza i upominek zobaczyła zemgłała z radości. A potem jak nie złapie za ławeczkie jak nie zacznie nas kształcić, to ledwieśmy z duszą uciekli.

Dwa dni bojałem się pokazać w domu. Dopiero dzisiaj na wieczór pójdę. Ale przysięgłem szwagrowi „Pod minogą", że póki życia mojego, więcej prezentów jej sprawiać nie będę, kiedy nie potrafi serca i ekspensu ocenić. Nie mam racji?

Ze świata

Niewidomy trener

Na należącej do Anglji wyspie Barbaros, położonej w grupie Małych Antylów, a liczącej 200.000 mieszkańców, uprawiane są gorliwie, wprowadzone tam przez Anglików, wyścigi konne.

Nie jest to osobliwością, natomiast osobliwość tych wyścigów stanowi trener Edgar Core, który straciwszy wzrok przed dziesięciu laty, pomimo to dotychczas trenuje swoje konie.

Wyludniająca się Francja

Gorzko skarży się prasa francuska na wyludnienie kraju, przypominając, że w roku 1789 Francja, licząca 28 miljonów ludności, była najludniejszym krajem w Europie, podczas gdy dzisiaj ludność jej wynosi 37 miljonów, w czem 3 do 4 miljonów cudzoziemców. Włochy w roku 1870, w dobie zaboru Państwa Kościelnego, miały 29 miljonów ludności, dzisiaj mają 44 miljony. W Niemczech od czasu zawieszenia broni po wojnie wzrasta o 350 do 360 tysięcy głów.

Pamiętać przytem trzeba, że Niemcy utraciły kilka prowincyj.

Anglja wraz z Irlandją liczy 50 miljonów mieszkańców. Stany Zjednoczone 130 miljonów. Japonja przszło 85, a wraz z Mandżurją 120.

Francja jest jedynym krajem, który stopniowo wyludnia się od 1870 r.

CHWILA ZASTANOWIENIA

K O N I K Ó W K A

ułożył Witold M.

pies	o	jo	naj	ka
szych	wet	szcze	szcze	mych
wiek	zna	lep	tych	mych
na	zna	na	a	ku
nie	cło	je	jo	ko

B I L E T Y   W I Z Y T O W E

KS. I. ZAMOR

DR. O. KERTA

KS. DR. O. TENPONE

Odgadnąć zawód właścicieli biletów

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 27 września br.

Rozwiązanie zadań z nr. 36 „Moich Powieści": Konikówka: *Trzeba tak używać młodości, aby zostało też coś dla starości.* Zadanie geograficzne: *P*ortugalja, Czarnogóra, Holandja, Szwajcarja, Luksenburg, Jugosławja. Całość: *Polska.*

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Wacław Bultrowicz — Gniezno, Ludwik Dulat — Zbąszyń, Helena Cylińska — Orzechowo, Szymankiewiczówna Wanda — Czempiń, Lech Turkiewicz — Opalenie, Ireneusz Karpowicz — Warszawa, Józef Gościcki — Radom, Irena Wolniakówna — Radagoszcz, Michalina Żórkówna — Włodzimierz.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Wandzie Szymankiewiczównie z Czempina i Józefowi Gościckiemu z Radomia.

Co słychać w polityce?

Dwa momenty zwracają na siebie uwagę opinji światowej, — Genewa, gdzie wciąż jeszcze czekuje się rozstrzygnięcia w tym czy innym kierunku sprawy zatargu włosko — abisyńskiego, i Norymbergja, gdzie od 11-go bm. obraduje VII. kongres partji narodowo — socjalistycznej. Sytuacja na terenie genewskim przedstawia się w najogólniejszych zarysach następująco:

Jak oświadczył przewodniczący komitetu pięciu, powołanego jak wiadomo dla rozpatrzenia całokształtu zatargu włosko — abisyńskiego, — delegat hiszpański Madariaga, rząd włoski unikać będzie jak długo się da otwartego zatargu z Radą Ligi Narodów. Nie oznacza to jednak zrzeczenia się ze strony Włoch kroków wojennych w Abisynji. Według ostatnich zakulisowych informacyj Włochy posuną się conajmniej w strefę Adua, gdzie ,jak wiadomo 1894 roku wojska włoskie poniosły klęskę w walce z Abisyńczykami. Mussolini chce za wszelką cenę zmazać pamięć tej klęski. Być może, że po osiągnięciu pierwszych poważnych sukcesów włoskie operacje wojenne w Abisynji zatrzymają się na strefie pogranicznej, poczem rozpocząć się będą mogły dalsze rokowania.

Nastrój w kołach Ligi Narodów jest w dalszym ciągu pesymistyczny. Głośne przemówienie angielskiego ministra spraw zagranicznych Hoare na plenarnem posiedzeniu Ligi Narodów wywarło w Genewie i w całym zresztą świecie potężne wrażenie. W kołach genewskich panuje przeświadczenie, że ostra krytyka polityki włoskiej zawarta w oświadczeniu ministra Hoare a szczególnie te zwroty przemówienia ministra w których mówił on o „sztucznem podniecaniu opinji publicznej" oraz „ubóstwianiu polityki gwałtu" nie przyczynią się do ułatwienia rozwiązania włosko — abisyńskiego konfliktu na realnej podstawie. Nigdy jeszcze od chwili założenia Ligi Narodów przedstawiciel Wielkiej Brytanji nie wypowiedział się w formie tak kategorycznej na rzecz organizacji kolektywnego systemu bezpieczeństwa oraz zastosowania sankcyj. Programowe oświadczenie angielskiego ministra spraw zagranicznych posiada tem większe znaczenie, że rząd angielski w sytuacji obecnej może liczyć na całkowite poparcie ze strony opinji publicznej całego kraju.

Sir Samuel Hoare przyjął w zasadzie jako motto swego wystąpienia genewskiego starą formułę Brianda „pakt, cały pakt i tylko pakt". Jeżeli uwzględnimy zastrzeżenia jakie w związku z tem wysuwali stale Sir John Simon, Mac Donald oraz poprzedni kierownicy londyńskiego Foreugn Office, uzyskamy właściwą miarę porównawczą, wielkiego postępu, jaki dokonał się z europejskiego punktu widzenia w angielskiej polityce zagranicznej.

Cieniem padającym na jasne zdecydowane oświadczenie Hoare jest przeważające w kołach Ligi Narodów przeświadczenie, że Anglja nigdy jeszcze nie zdawała sobie w całej rozciągłości sprawy ze ścisłego związku swej polityki z polityką na kontynencie, i że wydarzenia, które dziś obudziły w Anglji świadomość tego związku, kryją w sobie jednocześnie niebezpieczeństwa załamania się ogólnego systemu gwarancji będącego podstawą solidarności europejskiej.

Angielski minister spraw zagranicznych usiłował wprawdzie pozyskać rząd włoski dla pokojowego rozwiązania problemu abisyńskiego, stawiając oficjalnie wniosek, by w najbliższym czasie podjęto nanowo kwestję nowego podziału kolonij i źródeł surowców, poruszoną swego czasu na londyńskiej światowej konferencji gospodarczej. Celem tych układów byłoby przedewszystkiem zniesienie wszystkich monopoli kapitalistycznych. Propozycja angielskiego ministra spraw zagranicznych odpowiada postulatom stale od wielu lat wysuwanym przez delegacje włoską w Genewie. Propozycja ta z drugiej strony odbiera Włochom jeden z najistotniejszych argumentów, na który powoływała się prasa włoska przy uzasadnieniu konieczności zdobycia Abisynji. Zdaje się jednak, że Sir Samuel Hoare sam niebardzo wierzy w powodzenie swych pojednawczych propozycyj. Wskazuje na to gorący jego apel zawarty w końcowym ustępie deklaracji wzywający narody do zachowania jedności w oparciu o Ligę Narodów. Oświadczenie angielskiego ministra spraw zagranicznych zrozumiane zostało powszechnie w ten sposób, że Anglja całym swym autorytetem poprze solidarną akcję państw przeciwko każdemu napastnikowi. Mowa ministra Hoare była doniosłym momentem politycznym w jałowych dotychczas obradach genewskich. Drugim takim momentem było wczorajsze wystąpienie ministra Lavala, który gorąco zapewnił o głębokiem przywiązaniu Francji do Ligi Narodów i zdecydowanej woli rządu francuskiego nieuchylenia się od żadnej konsekwencji wynikającej dla Francji z faktu przynależenia do instytucji genewskiej. Francja przyjęła z ulgą i oradością oświadczenie ministra Hoare. Oświadczenie to, podkreślił Laval, stanowi datę przełomową w historji Ligi Narodów. W mowie Lavala nie brak akcentów optymistycznych., Laval wierzy w możliwość pokojowej likwidacji konfliktu włosko-abisyńskiego. Z drugiej jednak strony mowę tę należy interpretować jako zapowiedź Francji zsolidaryzowania się z Anglją w wypadku gdyby mimo wszystko sprawa sankcji wysunąć się miała na porządek dzienny. Po mowie Lavala zdaje się być jasnem, że o ile nie uda się uniknąćwoiny włosko-abysińskiej, to w każdym razie kwestja jej zlokalizowania, a nawet znacznego ograniczenia operacji włoskich zdaje się być przesądzona w sensie pozytywnym. W ten sposób uniknętoby jednego z najpoważniejszych niebezpieczeństw grożących pokojowi europejskiemu, i uniknięto go w takiej chwili, gdy w samym sercu Europy wyrasta dziś już zupełnie wyraźnie nowe, niezwykle groźne niebezpieczeństwo.

Mamy tu na myśli odbywający się obecnie w Norymberdze VII-my partyjny zjazd narodowo-socjalistyczny. Zjazd ten zmontowany przez kierownicze czynniki Rzeszy z niebywałym przepychem nosi nazwę „zjazdu wolności" i ma zademonstrować wyraźnie siłę militarną Niemiec.

Z przemówień wygłoszonych na zjeździe zniknęła tym razem oficjalna nuta pokojowa, ustępując miejsca wyraźnym zapowiedziom decydujących rozstrzygnięć zarówno nazewnątrz jak i nawewnątrz. W orędziu Hitlera, wydanym z okazji otwarcia zjazdu do narodu niemieckiego dźwięczy wyraźnie poczucie siły i gotowości do walki. Imperjalizm Hitlera jest inny od chełpliwej zaborczości Wilhelma II. Hitler mówi: „Nie mamy zamiaru demonstrować naszej potęgi wojskowej, wystarczy, że wiemy o niej..."

Właściwego znaczenia nabierają te słowa, gdy się je zestawi z fantastycznym rozwojem zbrojeń niemieckich oraz z frapującym faktem, że w przededniu kongresu norymberskiego odbyły się pierwsze na wielką skalę zakrojone, manewry w Niemczech, których założeniem taktycznem była wojna wybuchająca nagle bez uprzedniego wypowiedzenia.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 22. IX. do 28. IX. 1935 r.

Niedziela, dnia 22 września 1935 r.

9.00 Sygnał czasu 9.03 Gazetka rolnicza 9.15 Muzyka 9.40 Dziennik poranny 9.50 Odczytanie programu 10.00 Nabożeństwo 11.57 Sygnał czasu i Hejnał 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny 13.00 Słuchowisko 10.00 „Dodo" — nowela Szulca 14.20 Muzyka salonowa 15.00 Godzina rolnika 16.00 „Jak się uczył Stephenson" — dla dzieci 16.15 Miniatury kwartetowe — z Krakowa 16.45 Koncert Chóru 17.00 Muzyka taneczna 17.40 Regjonalna audycja muzyczna 18.00 Wesele na Podhalu 18.30 Słuchowisko p. t. „Dziwny sen pana Łukasza" 19.00 Program 19.10 Koncert i sport 19.30 Muzyka 19.45 Co czytać? 20.00 Koncert 20.45 Pisma Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Wesoła fala 21.30 U spartan słowiańskich — feljeton 21.45 Wiadomości sportowe 22.00 Muzyka.

Poniedziałek, dnia 23 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert 13.25 Chwilka dla kobiet 15.15 Giełda 15.30 Muzyka lekka 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Muzyka salonowa 16.45 Bilans wakacyjny—skecz 17.00 Higjena mieszkania — pogadanka 17.15 Minuta poezji 17.20 S. Prokofjew: Kwintet na flet, obój, klarnet waltornię i fagot 17.50 Wędrówka po pokoju — pogadanka 18.00 Pieśni amerykańskie w wyk. Janiny Kay-Kuczyńskiej 18.30 Opowiadanie dla dzieci 18.40 Zycie kulturalne i artystyczne 18.45 Muzyka 19.00 Skrzynka rolnicza 19.10 Zapowiedź 19.20 Koncert 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik 21.00 Recital fortepianowy 21.30 Wieczór literacki 22.00 Koncert symfoniczny 23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 24 września 1935 r.

6,30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 11.57 Sygnał czasu i Hejnał 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.35 Muzyka lekka 13.25 Chwilka dla kobiet 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie 15.30 Muzyka salonowa 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Ze świata wielkich i drobnych wynalazków — Mydło — pogadanka 17.15 Koncert 17.50 Skrzynka językowa 18.00 Muzyka lekka 18.30 Współczesna powieść historyczna w Polsce — szkic 18.45 Muzyka płyty 19.00 Wiadomości rolnicze 19.10 Zapowiedź programu 19.20 Koncert 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Operetka Offenbacha 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Obrazki z Polski współczesnej 21.05 Koncert 22.30 Młodzieńcza miłość mieszczańskiego króla — feljeton 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 25 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 11.57 Sygnał czasu i Hejnał 12.03 Dziennik południowy 12.15 Mądra i niemądra miłość macierzyńska — pogadanka 12.30 Koncert solistów 13.25 Chwilka dla kobiet 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka lekka 16.00 Gronie nasze, gronie hej! — pogadanka 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 Na białoruskich rojstach — Reportaż 17.15 Koncert 17.50 Swiat się śmieje 18.00 Koncert 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 Muzyka lekka 19.00 Pogadanka rybacka 19.10 Zapowiedź programu 19.20 Koncert 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Jak wieś żywi miasto — Mleko — reportaż 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 21.00 IV audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina" (1810—1849) 21.35 Znamiona polskości Conrada 21.50 Współczesne metody leczenia malarji 23.05 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 26 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert dla młodzieży szkół powszechnych 13.00 Koncert 13.25 Chwilka dla kobiet 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie 15.30 Koncert zespołu Niny Mańskiej 16.00 Higjena ołówka — opowiadanie dla dzieci młodszych 16.15 Koncert mandolinistów 16.45 Koncert chóru męskiego Kol. Przysp. Wojsk. „Hasło" 17.00 Rozwój programowy socjalizmu polskiego — odczyt 17.15 Koncert 17.50 O książce Sokołowskiego „Ptaki" odczyt prof. St. Suminskiej 18.30 Film, plastyka, architektura 18.40 Jak spędzię święto? 18.45 Król jazzu — płyty 19.00 Kącik dla młodzieży wiejskiej 19.10 Zapowiedź programu 19.20 Koncert 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Słuchowisko 21.35 Nasze pieśni 22.35 Muzyka lekka i taneczna.

Piątek, dnia 27 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.40 Koncert 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 15.15 Przegląd giełdowy i wiadomości o eksporcie 15.30 Muzyka lekka 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert ze Lwowa 16.45 Chwilka pytań (dla dzieci starszych) 17.00 Reportaż 17.15 Minuta poezji 17.20 Recital skrzypcowy 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Wesoła audycja muzyczna 18.30 Pogadanka aktualna 18.40 Zycie kulturalne i artystyczne stolicy 18.45 Koncert 19.00 Skrzynka rolnicza 19.10 Zapowiedź programu 19.15 Biuro studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 19.25 „Purytanie" — opera Belliniego 22.00 Wiadomości sportowe 22.15 Muzyka lekka 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 28 września 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 11.57 Sygnał czasu i hejnał 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert 13.25 Chwilka dla kobiet 14.30 Utwory fortepianowe 15.00 Kłopoty redaktora — Bolesława Prusa 15.15 Przegląd giełdowy 15.25 Nasz handel morski 15.30 Koncert 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Utwory na gitarę 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Jak umocnić gospodarczą samodzielność Polski: Walka z bezrobociem i marnotrawstwem pracy — odczyt 17.15 Nowości z płyt 17.45 Swiat naszych zwierząt — pogadanka 17.50 Nasze miasteczka: „Lublin" pogadanka 18.00 Słuchowisko dla dzieci p. t. „Złota kaczka" 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Pogadanka społeczna 18.44 Koncert 19.00 Przegląd prasy rolniczej 19.10 Zapowiedź programu 19.20 Koncert 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja „Nasi rodacy we Francji" 21.30 Humor regionalny (z Krakowa) 22.00 Koncert orkiestry P. R 23.05 Muzyka taneczna.

RADY PRAKTYCZNE

— Bielizny trykotowej nie należy wieszać po praniu, wyciąga się bowiem i traci zupełnie fason. Po praniu należy ją położyć na białem prześcieradle, aż wyschnie doskonale, nawet w pozycji „leżącej".

*

— Kupując wazony na kwiaty należy pamiętać o tem, że wnętrza wazonów nie powinny być powleczone glazurą. Łodygi kwiatów muszą mieć również dużo powietrza, a nieporowate powleczone glazurą wnętrze wazonu, powietrza nie przepuszcza..

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

54)

Kazimierz wziął list do ręki, — ale zaledwie tylko spojrzał, wydał okrzyk przytłumiony.

„Na Boga ,co się tu dzieje?“ zawołała Elżutka, „najpierw pan hrabia zbladł, a teraz znowu pan Kazimierz pobladł, jak ściana i drży na całem ciele —“

„Umarli przemówili“, zawołał Kazimierz, „groby otwierają się, — i dawno przebrzmiałe dźwięki głosu obijają się o uszy. Ten list podpisała ręka, co dawno już zbutwiała, ręka Anielci Dubois.“

„Anielci Dubois?“ zawołał hrabia Zygmunt, „ależ to oszustwo, jedna jest tylko Anielcia Dubois, obecna Lola, hrabina Zamska, twoja żoną, Kazimierzu! Ale czytajmy, co nam ta, która się śmie zwać Anielcią Dubois, ma do powiedzenia. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tu chodzi o całkiem zwykłe wyłudzenie pieniędzy, nic innego!“

Gdy hrabia Zygmunt list przeczytał, i to raz jeden, drugi i trzeci, spoważniał.

„Na Boga,“ zawołał, „nie, to nie jest żadne oszustwo, — w liście tym żąda ode mnie, bym się zajął pogrzebem pani Haler. Ta dziewczyna, która nosi nazwisko Anielci Dubois, i o której sądziliśmy, że umarła, przebywała w domu doktora Halera! Ale czego nie rozumiem! Nie pisze o nim, że nagle zmarł na zamku Sokolskich?“

„Tak ,całkiem wyraźnie“ — rzekł Kazimierz, który nachylony przez ramię hrabiego Zygmunta list czytał — „rzeczywiście pisze tak.

„Boże, co to wszystko ma oznaczać, ja nie pojmuję, ja nie rozumiem tego, czyż to los z nami gra komedję? Anielcia, której zwłoki widziałem, której serce przechowuję, ta sama Anielcia, której śmiertelne szczątki na cmentarzu Montmartre spoczywają, ona pisze, twierdzi, że przez cały czas przebywała w domu doktora Halera, a teraz dom ten opuszcza, matka zaś doktora nagłą śmiercią zmarła? Zdaje mi się, że się wszystko w koło mnie obraca, dostaję zawrotu głowy, — nie wiem, co się ze mną dzieje.“

„Mój synu“ — rzekł hrabia Zygmunt, ściskając rękę Kazimierzowi — „to samo dzieje się i ze mną, ale co tu długo zastanawiać się i rozmyślać; przedewszystkiem musimy nabrać pewności, czy doktor Haler rzeczywiście nie żyje. Niechaj Bóg broni, by to miało być prawdą. Ale co się tyczy jego matki, to zdaje się, nie ulega chyba najmniejszej wątpliwości ta wiadomość, gdyż dołączone jest świadectwo zejścia, wystawione przez doktora Barnelę.“

„Ja sądzę również, mój ojcze, że działać należy jak najspieszniej, wiesz co, jedźmy zaraz do domu doktora Halera. Jeżeli znajdziemy tam zwłoki pani Halerowej, w takim razie musimy wierzyć i w prawdziwość tego listu.“

„A tymczasem ja zatelegrafuję do zamku z zapytaniem, czy wiadomość o śmierci doktora Halera nie zmyślona“ — rzekła Elza — „a więc do dzieła, próbujmy rozwiązać zagadkę, której w tej chwili umysł ludzki rozwiązać nie może.“

Wszyscy troje opuścili spiesznie czytelnię klubu, powóz zawiózł ich najpierw przed pałac hrabiego Zygmunta, gdzie Elza wysiadła i skąd hrabia kazał woźnicy zaciąć konie i wieźć ich do dawnego mieszkania doktora Halera.

Gdy przybyli na miejsce, znaleźli je na klucz zamknięte, z okien ciemność tylko wyzierała; na pukanie do drzwi, odpowiadało tylko głuche echo.

„Spróbujmy więc klucza, który mi z listem przysłano“ — rzekł hrabia Zygmunt — „skoro nim można otworzyć mieszkanie, widocznie, że prawda jest w liście zawarta.“

Klucz wetknięty obrócił się, drzwi otwarły się, Zygmunt i Kazimierz weszli do ciemnej sieni. Na szczęście hrabia Zygmunt miał z sobą woskowe zapałki, zapalił jednę z nich, ujrzeli przed sobą drzwi, które, gdy otwarli, znaleźli się w pokoju, w którym pani Haler zakończyła życie.

„Jest tu kto?“ — zapytał donośnym głosem hrabia Zygmunt.

Pytanie jego pozostało bez odpowiedzi.

„Tam, ojcze!“ — zawołał z drżeniem w głosie Kazimierz — „tam na sofie leży postać ludzka!“

„Tak, zwłoki!“ — rzekł hrabia Zygmunt, zbliżając się — „zwłoki starej kobiety.“

Stanęli przy sofie, na której matka doktora Halera leżała, spojrzeli na bladą twarz, ręce na piersi złożone i wzruszenie głębokie owładnęło ich obydwóch.

Kazimierz ujął za rękę ojca i rzekł:

„Czy widzisz, a więc treść listu odpowiada prawdzie, to nie jest żadna mistyfikacja, żadne oszustwo. Ale jak wytłumaczyć sobie, że ta osoba, która list pisała, bawi między żyjącymi? Gdyby i to jeszcze prawdą było!“

„To nie może być, nie, to nieprawda. Sam mi dokładnie opowiadałeś, żeś stał przy jej trumnie. Czyżeś mi nie pokazywał jej serca, nie wziąłeś go sam?“

„Serce, jej serce!“ — jęknął Kazimierz — „tak, ojcze, teraz sobie przypominam coś. W tym domu nie jestem po raz pierwszy, nazwisko Haler wyszło mi z pamięci i gdyś mi opowiadał o młodym lekarzu, którego wysłałeś do zamku, nie przyszło mi nawet na myśl, że to ten sam, u którego byłem z prośbą, by wyjął serce Anielci. Tak, teraz przypominam sobie dobrze! W tym domu byłem już, a chociaż nie wiem, czy Anielcia za życia tu była, to pewna jednak, że trupa jej przez tę sień wniesiono na moje zlecenie do pokoju doktora.“

Zygmunt zadumał się, zmarszczki wystąpiły mu na czole.

„Mój drogi“ — rzekł po chwili — „zdaje się, że znaleźliśmy drogę prowadzącą do rozwiązania tej ciemnej zagadki. Tyżeś przecie sam spowodował przetransportowanie tej dziewczyny, która się zwała Anielcią Dubois, do tego domu. Tyś sam oddał ją doktorowi Halerowi z poleceniem, by wyjął jej serce. Powiedz mi, mój kochany, później, gdy już serce to otrzymałeś, widziałeś trupa jeszcze raz?“

„Nie ,ojcze“ — odpowiedział — „na mój rozkaz obydwaj grabarze zanieśli go na cmentarz Montmartre i natychmiast pochowali.“

„Doktor wydał więc grabarzom trumnę z trupem, z tym samym trupem, któremu już brakowało serca?“

„Tak! I śmiertelne szczątki tego dziewczęcia zostały jeszcze tej samej nocy pochowane.“

„Nie pozostaje nam więc nic innego“ — rzekł hrabia Zygmunt po chwili namysłu — „celem zgłębienia tej tajemnicy, jak sprawdzić, czy rzeczywiście była to ta sama dziewczyna, której trupa kazałeś przynieść do tego domu. Musimy udać się na cmentarz Montmartre i kazać otworzyć sobie grób.“

Kazimierz uczuł dreszcz na całem ciele. Miał jeszcze raz oglądać to ukochane oblicze, ale jakie, w jakim znajdujące się stanie? W stanie rozkładu, przez robaki toczone, nie, nie, takiego widoku nie zniosę!

„Jeżeli nie czujesz się na siłach, mój synu“ — ciągnął dalej hrabia Zygmunt, gdyż nie uszło uwadze jego, że Kazimierz na propozycję jego wzdrygnął się, a bladość pokryła jego lica — „w takim razie sam się udam na cmentarz. Mnie śmierć nie trwoży, a sądzę, że obowiązkiem naszym jest nie spocząć, aż rozwiążemy tę zagadkę, musimy nabrać pewności, czy i tym razem nie wpadliśmy na lep jakiejś oszustki, lub też, czy to dziewczę, które kiedyś kochałeś, rzeczywiście jeszcze żyje i było autorką listu, który otrzymałem.“

„Idę z tobą, mój ojcze!“ — rzekł pewnym głosem Kazimierz — „nie pozwolę, byś sam jeden miał się udawać na cmentarz.“

„Ale co zrobimy z temi zwłokami?“ — dodał wskazując na sofę.

„Pogrzeb biorę naturalnie na siebie“ — odparł hrabia Zygmunt — „to mój obowiązek! A gdyby rzeczywiście prawdą to było, że doktor Haler zmarł nagle w moim zamku, każę matkę i syna wspólnie w jednym grobie pochować. Tymczasem zamkniemy napowrót dom, klucz wezmę z sobą, a jutro zarządzę, co potrzeba.“

Po chwili opuścili dom, do którego tak niespodziewanie śmierć zagościła.

Wsiedli do powozu i kazali się wieźć na cmentarz Montmartre.

Powóz zatrzymał się u muru cmentarnego. Kazimierz i Zygmunt weszli przez boczną furtę, kierując swe kroki do mieszkania grabarza. Jak widma nocne białością swą połyskiwały pomniki marmurowe po grobach, wiatr przelatywał ze skargą gnąc gałęzie i poruszając liście brzóz płaczących i topoli, na domach wiecznego spoczynku zasadzonych. Zresztą cisza, spokój i ciemność dokoła. W domu Pifferona było także ciemno, spał zapewne już on i jego syn.

Zygmunt zapukał do okna, ale długo trwało, zanim stary Pifferon ukazał się przy nim.

Mimowoli cofnęli się obydwaj o krok w tył na jego widok, bo wychudły grabarz w koszuli flanelowej i z białą

czapeczką nocną wyglądał sam, jakby co dopiero wylazł z grobu.

„Kto i poco?“ — zapytał nie otwierając okna.

„Otwórzcie tylko“, — rzekł Kazimierz — „zaraz poznacie mnie. Jestem tym, dla którego nosiliście trupa do doktora Halera, a potem go na tym cmentarzu pochowaliście. Przypomniecie sobie mnie zapewnie, gdy wam przyjdzie na pamięć hojna moja zapłata w złocie“.

Stary Pifferon otworzył okno i wychylił się przez nie.

„A, teraz poznaję wielmożnego pana“ — rzekł — „czemże mogę służyć? Trochę za późna pora do rozmowy. Mój syn i ja pracowaliśmy ciężko przez cały dzień i jesteśmy bardzo znużeni“.

„Przyszedłem“ — odparł Kazimierz — „by się was spytać, czy nie chcecie zarobić sobie pięćset franków“.

„Pięćset franków, — proszę, co mam uczynić?“

„Żądam tylko bardzo małej usługi od was. Chcę, byście mi otworzyli jeszcze raz grób tej dziewczyny, chcę się popatrzeć na zmarłą“.

Stary Pifferon wzdrygnął się z przerażenia.

„Chyba byłbym głupcem“ — zawołał robiąc ruch, jakby chciał zamykać okno, — „myśli pan, że mam ochotę ginąć na czarną ospę? Ta dziewczyna umarła na tę chorobę, mój syn i ja, byliśmy kontenci, gdyśmy trumnę pochowali i ziemią zasypali. Nie, mój panie, gdyby mi pan pięć razy tyle dawał, nie uczynię tego“.

Kazimierz porozumiał się wzrokiem z Zygmuntem, przystąpił aż do samego okna i rzekł rozdrażnionym głosem:

„Co pleciecie o czarnej ospie? Na tę chorobę nieszczęśliwa przecież nie umarła, przysięgam na to!“

„Więc pan wie lepiej, niż doktór, do którego trupa pan zanieść kazał?“

„A! to doktór Haler powiedział wam, że ta młoda dziewczyna umarła na czarną ospę?“

Gdy Pifferon pytanie to skwapliwie potwierdził, ciągnął Kazimierz dalej:

„Jeżeli wam to powiedział, w takim razie kłamał, — świadomie nieprawdę mówił. Ta dziewczyna sama odebrała sobie życie, skoczywszy do wody. Daję wam na to słowo honoru, że się rzecz ma tak, a nie inaczej. A teraz, nie namyślajcie się dłużej, otwórzcie mi grób i trumnę, ja muszę zmarłą widzieć“.

„Jeżeli mi wielmożny pan gwarantuje, że to nie jest żadna zaraźliwa choroba, w takim razie zbudzę mego syna. Proszę o kilka minut cierpliwości, zaraz wyjdziemy“.

Okno zamknęło się, — Kazimierz zwrócił się do Zygmunta:

„Czy pojmujesz ty, kochany ojcze, cel, w jakim doktór Haler dopuścił się widocznego kłamstwa? Z jakiego powodu zapewniał tym ludziom, że Anielcia na ospę umarła?“

„Ależ to nic naturalniejszego, mój synu!“ — odparł hrabia Zygmunt — „ja sądzę, że to jasne, jak na dłoni! Doktór chciał, by trumna była jak najspieszniej w ziemi, obawiał się pewnie, by grabarze nie otworzyli jeszcze raz trumny



Marszałek Balbo mianowany został głównodowodzącym floty powietrznej włoskiej na morzu Śródziemnem

i za każdą cenę chciał temu przeszkodzić“.

„Ale cóż za powód był do tego?“

„Bądź cierpliwy jeszcze z kwadrans“ — rzekł Zygmunt z pobłażliwym uśmiechem, — „a dowiesz się wszystkiego“.

Rozdrażnienie Kazimierza wzrastało jednak z każdą chwilą, najsprzeczniejsze uczucia miotały nim, wydając na pastwę do ostatecznych granic posuniętego niepokoju.

Czy Anielcia żyła jeszcze, lub spoczywała tu na cmentarzu w grobie? A jeżeli nie żyła rzeczywiście, kto pisał ten list, który teść jego dzisiaj otrzymał, list przez „Anielcię Dubois“ podpisany?

Nareszcie ukazali się obydwaj grabarze, którzy zaopatrzyli się już we wszystko, czego potrzeba było do tej przykrej czynności.

Stary niósł latarnię i narzędzia do wyłamania wieka od trumny, syn miał przy sobie dwie łopaty i małą drabinę.

„Proszę za nami“ — rzekł stary Pifferon — „rozumie się samo przez się, że to co dla panów robimy, ma być zachowane w tajemnicy. Inaczej dostałoby się nam wszystkim. Wzbronionem jest najsurowiej otwierać grób bez rozkazu sądowego“.

„O to się nie martw, nikt się nie dowie“ — rzekł Zygmunt.

Szli alejami, to znów ścieżkami pomiędzy szeregami grobów, krzyżów i kamieni marmurowych. Obydwaj Pifferoni, którzy szli przodem, prowadzili ich na północny róg, tego starego, ogromnego cmentarza.

Uważnie zaczął Pifferon przyglądać się numerom, którymi na odwrotnej stronie były krzyże oznaczone. Nagle grób, zaniedbany, na wpół zapadnięty, na którym ni jeden kwiatek nie rósł, wskazując, rzekł:

„To tutaj! Długo nie potrwa i panowie będą mogli oglądać trupa“.

„Weźcie już teraz pieniądze, byle tylko prędko!“ — rzekł Kazimierz, wciskając, w rękę Pifferona wydobyty banknot na pięćset franków.

Widok pieniędzy rozbudził zapał obydwóch grabarzy, którzy gorliwie pracować zaczęli, i w krótkim czasie usypali pagórek z ziemi, czem raz głębiej wciskając się do wnętrza grobu. Nareszcie łopaty trafiły na opór.

„Już natrafiliśmy na trumnę, zaraz będziemy ją na wierzchu mieli“.

Księżyc, który wypłynął przed chwilą z za chmur, oblał swym srebrnym blaskiem grób. Kazimierzowi zdawało się, że słyszy w tej chwili lekkie westchnienia wydobywające się z głębi, mimo, że wiedział, iż to złudzenie, że to gra jego własnych, wzburzonych nerwów.

Po kilku minutach dalszej pracy ukazała się oczom trumna, czarna, niepokaźna, a za chwilę leżała już całkiem wolno.

„Zejdźcie panowie po drabinie na dół“ — zawołał Pifferon, — „teraz odbijemy wieko!“

„Pozwól, że pójdę pierwszy“ — rzekł Zygmunt do swego zięcia, i bez najmniejszego wahania się lub cienia trwogi zstąpił po drabinie na dół.

Kazimierz poszedł za nim. On, co nigdy nie znał, co to znaczy trwoga, został przejęty nieopisanym wstrętem i jakby obawą, bliski był omdlenia. Doznawał uczucia, jakby zstępował do własnego grobu i nigdy z niego na światło dzienne już wyjść nie miał.

Znaleźli się na dole, miejsca było tyle. że mogli stanąć obok trumny.

Wstrętny, zimno-wilgotny odór zgnilizny owiał ich, światło księżyca rozświecało na szczęście i wnętrze grobu, przeznaczonego dla jednego trupa, gdzie się w tej chwili cztery żyjące osoby znajdowały.

„Prędzej, chłopcze!“ zawołał stary grabarz na syna — „bierzmy się do wieka“.

Zazgrzytały żelazne instrumenta i nie długo trwało, gdy podważyli wieko.

„Podnieś do góry!“ — zawołał znów Pifferon.

Kazimierz przycisnął obydwie dłonie do gwałtownie kołatającego serca. O, miał jeszcze raz przeżyć te straszne chwile, pamiętne mu dobrze od ostatniego razu, jeszcze raz miał doznać tego strasznego bólu, jak ongi, na widok swej zmarłej Anielci, jeszcze raz miał oglądnąć ukochane jej lica! Nie, to straszne! Gdyby nie Zygmunt, co stał przy nim, niezawodnie byłby powstrzymał grabarzy w robocie z słowami:

„Nie chcę jej więcej widzieć, niech tajemnica, która mię dręczy, pozostanie nieodsłonięta!“

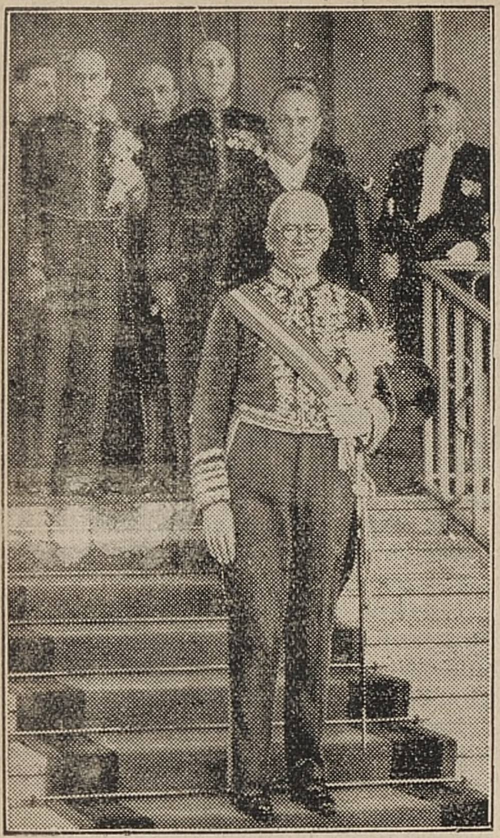
„Prędzej!“ — zawołał hrabia Zygmunt — „do przyjemności nie należy stać tu długo, podnoście wieko!“

W następnej chwili usunęli grabarze wieko, wszyscy czterej jakby skamienieli.

W trumnie nie było żadnego trupa. Kilka większych kamieni, poowijanych w gałgany, stanowiło zawartość jej, a, by się nie poruszały i przez to grabarze w czasie transportu nie nabrali jakiegoś podejrzenia, pomiędzy kamieniami były poduszki i prześcieradła.

„Domyślałem się czegoś podobnego!“ Te słowa wypowiedział pierwszy hrabia Zygmunt.

„A więc oszukano mnie!“ zawołał Kazimierz do najwyższego stopnia rozdrażniony, a jednak wiem, mogę przy-



W tych dniach złożył nowy poseł włoski wizytę Hitlerowi, w czasie której wręczył listy uwierzytelniające. Na obrazku moment wyjścia posła z audjencji

siąc, że w tej trumnie spoczywały zwłoki Anielci, gdy je odnoszono do doktora, a teraz —"

„Jeżeli jej djabli nie wzięli" — zaśmiał się brutalnie stary grabarz — „w takim razie nie było jej wogóle w trumnie, gdy nam ją doktór oddawał. Ale poco nam takiego stracha napędził, i mówił o czarnej ospie? To straszne".

„Widzieliśmy dosyć" — rzekł hrabia Zygmunt — „chodźmy, Kazimierzu, na górę!"

Chwycił zięcia swego za rękę i przemocą niemal pociągnął za sobą. Kazimierz był jakby bez zmysłów, tysiące myśli przebiegało mu przez głowę, a żadna z nich nie zdołała oświecić zamętu w jego duszy.

Gdy się wydostali na górę, wziął go Zygmunt pod ramię i poprowadził z sobą. Pifferoni tymczasem zabrali się na nowo do roboty, do zamknięcia trumny i przysypania jej ziemią, jak przedtem.

Między obydwoma hrabiami panowało milczenie, jak długo byli na cmentarzu. Dopiero, gdy się znaleźli w powozie, zawołał wzburzony Kazimierz:

„Na Boga, co to ma wszystko oznaczać? Czyż los robi sobie ze mnie igraszkę? Teraz, mój ojcze, ciemniej mi jeszcze, jak przedtem, nic a nic nie rozumiem z tego wszystkiego, widziałem jej grób, trumnę, a trupa jej niema! Niema Anielci, którą w tej trumnie widziałem, której serce ukryłem, niema jej!"

„Uspokój się" — przerwał mu Zygmunt, obejmując w pół ramieniem — „ja ci to wszystko wyjaśnię! Tu są tylko dwie możliwości, albo Anielcia w domu doktora Halera obudziła się z letargu, który pierwotnie za śmierć wzięto, i w tym stanie ty ją widziałeś, albo też młody lekarz chciał trupa dla siebie zatrzymać, by robić na nim studja! A że nie miał do tego prawa, bo dziewczyna musiała być pochowaną, popełnił oszustwo i zamiast trumnę z trupem, wydał ją grabarzom, napełnioną kamieniami i gałganami."

„Masz słuszność, ojcze" — jęknął Kazimierz — „ale kto nam da pewność, która z tych dwóch możliwości miała tu miejsce? Ten jeden człowiek, któryby mógł to uczynić, sam nie żyje! Och, czemuż i on musiał teraz właśnie umrzeć!"

„Nie trać nadziei, mój synu" — rzekł Zygmunt — „chociaż i usta doktora na wieki zamknięte i z nich się niczego dowiedzieć nie można, toć, jeżeli taka wola Niebios, los odsłoni ci rąbek zasłony tej tajemnicy."

Powóz zatrzymał się przed bramą pałacu, zamieszkiwanego przez hrabiego Zygmunta. Obydwaj przebyli szybkim krokiem schody, w jasno oświeconej sali postąpiła naprzeciw nim Elżutka.

„Właśnie przyszła depesza ze Sokołowa" — zawołała — „odpowiedź na telegram, który wysłałam do Walentego!"

„Depesza?" — zawołał Zygmunt — i Walenty wysłał ją?"

„Nie" — odparła Elza, podając depeszę — „doktor Haler sam — on żyje! Wiadomość o jego śmierci była zmyśloną! Jutro w południe będzie w Paryżu!"

Kazimierz padł na krzesło, wrażeniu temu siły nie podołały, a jednak w tej chwili pierś jego wypełniło błogie uczucie, że nareszcie dowie się o całej prawdzie.

LXXX.

Niebo i piekło w sercu

Gdy się te zajścia owego wieczora odbywały, Lola siedziała w gabineciku gustownie urządzonym, znajdującym się pomiędzy jej sypialnią, a pokojem sypialnym jej męża.

Śliczny negliż osłaniał jej pulchną, choć smukłą postać i nigdy Lola nie była piękniejszą, jak owego dnia, gdy jej nowe szczęście wschodzić się zdawało i stała jakoby na progu spełnienia tych wszystkich najgorętszych życzeń, które tęsknota dotychczas napróżno przywoływała.

Tak, Kazimierz należał już do niej, zdobyła go sobie, spoczywał w jej ramionach, była jego małżonką, nie tylko z nazwy, ale i sercem jego owładnęła.

O, co za szczęście niewypowiedziane! Rozkosz niebiańska zawitała do jej serca, to błogie uczucie, które słowami wyrazić się nie da, które doznaje tylko kobieta, gdy poczuje nowe życie pod sercem.

Lola czuła się — matką.

Od kilku dni miała już pewność, że natura powołała ją do spełnienia tego najświętszego obowiązku kobiety. Miała dać życie stworzeniu, miała je w niedalekiej przyszłości na ramionach swoich kołysać, kość z jej kości, krew z jej krwi, ale nie tylko z jej, lecz także...

Nagle jakby przestraszyła się, — powstał zamęt w jej myślach, drżeć zaczęła, jak liść osiki, zerwała się z fotelu, w następnej jednak chwili padła znowu na niego.



I maharadżowie hinduscy się europeizują: jeżdżą własnemi samochodami i ubierają się po europejsku, zachowując jedynie turbany. Zdjęcie nasze przedstawia właśnie jednego z nich, zwiedzającego Berlin

Byłoż to rzeczywiście dziecko Kazimierza, które pod sercem nosiła, byłże to owoc miłości małżeńskiej, potomek szlachetnej, prastarej rodziny hrabiów Sokolskich, czy też?...

Straszne wątpliwości zaczęły szarpać jej duszę, zakryła twarz rękami, dreszcz przechodził po jej ciele. Wielki Boże, gdyby to miało być dziecko zbrodniarza, tego mordercy, bandyty, którym się znowu wszystkie dzienniki zajmują, tego nikczemnika, któremu się w stanie nieprzytomnym prawdopodobnie oddała.

Tak, ten upadek, którego się Lola była dopuściła owej nieszczęsnej nocy, której nagle Alfreda Robbera znowu była spotkała, ten grzech wielki, jaki wówczas popełniła, to złamanie wiary małżeńskiej, sprzeniewierzenie się, ze zemsty nad ideałem swej miłości, świadomość tej popełnionej zbrodni, myśl o tem wszystkiem działała jakby trucizna, której się obronić nie mogła mimo rozpaczliwej walki. Nie, tej myśli nie była w stanie odpędzić od siebie, że da może życie dziecku, które nosić będzie rysy nie Kazimierza, lecz Alfreda Robbera.

Na myśl, że owoc występku może, uosobioną niewiarę małżeńską złożyć będzie musiała na ramionach swego nic nie przeczuwającego męża, odchodziła niemal od zmysłów.

„On to dziecko będzie kochał" — wzdychała piękna kobieta, ocierając sobie łzy z twarzy — „on będzie szczęśliwy, gdy je po raz pierwszy zobaczy! Ale ja, ja wtedy sama sobie powiedzieć będę musiała: Oszukałaś go! Biedny, nieszczęśliwy człowieku, twój ród shań-



Ilustracja nasza przedstawia trzech francuskich sportowców, którzy dokonali niezwykłego czynu przejeżdżając na wrotkach przestrzeń dzielącą Paryż z Brukselą

biony, nie syn to hrabiowski, którego do swej piersi przyciskać będziesz i dla którego błogosławieństwa Niebios wzywasz, tylko syn zbrodniarza, najzwyklejszego, podłego mordercy.

„Nie, nie, to nie może być!“ — pocieszała się sama — „ja czuję, to musi być dziecko Kazimierza! Mogłażemby już dziś je tak kochać, mogłażbym z taką radością chwili przyjścia jego na świat oczekiwać! O, wtedy, gdy spoczywałam w objęciach tego strasznego człowieka, wtedy nie wiedziałam, co robię. Szampan opętał moje zmysły, byłam na pół bezprzytomną, to nie może być, by to wtenczas było, nie może być, by Niebiosa tchnęły zaczątek nowego życia do mej duszy, bo to była zbrodnia, com uczyniła, grzech, a dobry owoc jest oparty na błogosławieństwie małżeńskiem.“

Tak próbowała Lola, sama siebie łudzić, wmawiać w siebie, że grzech jej nie mógł mieć następstw, okłamywała i oszukiwała sama siebie, a przytem czuła się mimo to bezdennie nieszczęśliwą.

Kazimierz jeszcze nie wiedział nic, nie przeczuwał, jaka radość go oczekuje, jeszcze mu nic nie wyznała, nie miała jeszcze odwagi stanąć przed nim i powiedzieć:

„Mam ci coś wyznać, Niebo pobłogosławiło nasz związek.“

Ale dziś dowie się o tem, dlatego oczekuje go jeszcze, mimo, że zegar na kominie dwunastą godzinę wskazywał.

Dziwiła się, że Kazimierz nie wraca, zresztą nie zwykł był tak późno w klubie bawić. Ale gdyby jej przyszło czekać nawet do rana, spać nie pójdzie, dzisiaj ma stanowczy zamiar, oznajmić mu, że się matką czuje.

By czas skrócić, wzięła książkę ze swojej podręcznej bibljoteki, usiadła przy stole, na którym lampa płonęła i zaczęła przewracać kartki.

Były to poezje, jedna z nich przykuła jej uwagę tak, że przeczytała ją raz jeden, drugi i trzeci — tak jej przypadała do smaku i serca, że miała wrażenie, jakby Kazimierz do niej przemawiał i pragnęła, by tak było zawsze między niemi, jak w tej pieśni.

Głowę oparła o tylną poręcz fotelu i pogrążyła się w rozkosznej zadumie. Brzydkie myśli, wątpliwości, które ją dręczyły, odsunęła od siebie i widziała przed sobą tylko drogę przyszłości, usłaną kwiatami, otoczona miłością męża, kochająca i kochana.

A teraz do tego to dziecko, ten dar Nieba, będzie węzłem tem silniej spajającym harmonijnie bijące ich serca —

Lecz co to, szyby okna zabrzęczały złowrogo, Lola uczuła nagle zimny prąd powietrza, przerażona podniosła głowę, a z ust jej wyrwał się okrzyk trwogi...

LXXXI.

Niemiły gość

Przestraszona patrzyła w stronę okna. Gwałtu, co się dzieje? Okno nagle otwarło się, — tak, że skrzydła jego uderzyły o ścianę.

Lola stała jak skamieniała, przycisnęła ręce do falującego łona, krokiem z miejsca ruszyć się nie była w stanie.

Czy okno samo się otwarło, czy wicher je otworzył, nie, to nie może być, bo na dworze wiatru takiego nie było, a wiedziała napewno, że sama zamykała okno.

Kto je otworzył, nie mogła widzieć, jedwabna kotara, zwisająca u okna, zasłaniała widok.

Ale za kotarą coś się poruszało, zdawało się Loli, jakby cień jakiś dostrzegła, wpatrując się uważniej, choć kroku naprzód postąpić nie mogła, tak to postać mężczyzny.

Gdy zrobiła to odkrycie, strach jej i przerażenie wzmogły się jeszcze, uciekać nie mogła, nogi odmawiały posługi, wołać także, bo głosu ze strachu nie mogła z siebie wydobyć. Straszne przeczucie owładnęło nią, czy nie ten, o którym dziś, niedawno myślała, który ją zgrozą przejmował, czy nie ten wyrzutek społeczeństwa, na którego wspomnienie ze względu na stan obecny, krew się jej w żyłach lodem ścinała.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, bezwiednie usta, które siliły się, by wołać o pomoc, jakby parte niewidzialną mocą wymówiły:

„Alfred Robber!“

Z za kotary ozwał się w odpowiedzi, jak gdyby echo, brzydki, szyderczy śmiech, kotara rozdzieliła się, a oczom kobiety ukazało się potworne oblicze.

Lola zachwiała się, wyciągnęła, jakby dla obrony przed siebie ręce, oczy jej strzelały blaskiem przerażenia posuniętego niemal do szału, cała jej postać przedstawiała uosobienie trwogi, każdy rys jej twarzy odbijał ten straszny niepokój szarpiący jej duszę.

Z okna zeskoczyła do pokoju postać w łachmany odziana, zbliżała się zwolna do Loli, która do drzwi się cofała.

U samych drzwi jednak, gdy Lola poza sobą ręką klamki szukała, chwyciła ją żebracza postać za ręce i ścisnęła je jak kleszczami.

„Dlaczego uciekasz przede mną, moja gołąbko?“ — ozwał się ochrypły głos, równocześnie buchnął z ust jego w twarz Loli wstrętny zapach alkoholu — „skądże ta obawa nagła przede mną, niedawno przecież, nie więcej jak przed kilku miesiącami spoczywałaś bez trwogi w moich ramionach. Coprawda, wyglądałem wtedy trochę przystojniej jak teraz, byłem wystrojony podług ostatniej mody, wykąpany, ogolony i ufryzowany, a teraz, karykatura dawnego Alfreda Robbera, ale od ciebie tylko zależy, gołąbko moja, bym znowu przybrał dawniejszą postać, by lubością usta twoje mogły spocząć na moich, jak to przedtem bywało!

„Toaleta pozostawia nieco do życzenia“ — ciągnął dalej, nie czekając na odpowiedź — „nic dziwnego, musiałem uciekać lasami, chronić się po bagniskach nawet. Przykre czasy przebyłem, no, ale teraz minęło to wszystko, nastaną lepsze czasy, przy mojej hołubce, przy tobie odżyję teraz na nowo!“

Aż do tej chwili nie miała Lola pewności, czy to rzeczywiście Alfred Robber przed nią stoi.

Bo rzeczywiście czyż to był on? Gdy go ostatni raz widziała, przedstawiał typ eleganta, a nawet w tych czasach, kiedy jeszcze żył ze zwykłych kradzieży, odznaczał się starannością w ubiorze. Nawet Loli wpadła w oko niegdyś ta elegancja, jaką się odznaczał.

Uchodził wtedy nawet za pięknego mężczyznę. Pomimo swych rudych włosów cieszył się względami rozlicznych kobiet, tych zwłaszcza, które się kierowały zmysłowością.

Twarz jego nosiła wprawdzie oznaki przeżycia, ale było w niej coś, co kobiety nazywają interesującem, postawa gibka o ruchach dystyngowanych, oczy jego, gdy chciał, przybierały rozmarzo-



W ostatnich dniach obradował w Rzymie wielki zjazd b. kombatantów. Na zdjęciu widzimy delegacje kombatantów ze sztandarami na tle Colosseum

ny wyraz, usta zgrabne, lekko wysunięte, jakby złożone do pocałunku.

Ale teraz dreszcz przechodził po ciele Loli, gdy na stojącego przed nią patrzała.

Postać Robbera odziana była w łachmany i to takie, jakichby może przedtem nawet się nie był dotknął, długie, nieokreślonego koloru palto, sięgało mu do kostek, rękaw jeden brakował, poły potargane, kawałami tylko zwisały, nie mówiąc już o innych częściach ubrania.

Z bielizny nie było na nim ani śladu, około szyi miał owinięty kawał brudnego szala, którego końce w nieładzie zwisały.

Twarz, jakby sadzą pokryta, całkiem czarna. Wyglądał, jakby się ze cztery tygodnie nie mył, tak samo wyglądały i jego ręce.

Włosy niezawodnie tygodnie całe nie stykały się z grzebieniem. Ale nawet sama twarz i cała postawa, w ciągu tych kilku miesięcy, w czasie których Lola go nie widziała, strasznie zmieniła się.

Więzienie odbiło się na nim, trudy ucieczki niezawodnie jeszcze głębsze wycisnęły na nim piętno, bo postać jego cała wychudła, a policzki w głąb się zapadły. Nadomiar tego wszystkiego widocznie szukał pociechy tam, gdzie jej szuka zwyczajnie rozpacz i nędza u tłumu: w szynku, w wódce!

Gwałtownym ruchem uwolniła się Lola z uścisku jego rąk, odepchnęła go od siebie z taką siłą, o jakiej nie myślała, że posiada.

„Czego chcesz ode mnie?“ — zawołała przytłumionym głosem, „nie znam ciebie, nie widziałam nigdy, — złodzieju, włamywaczu, precz stąd, bo służbę zawołam!“

„Co? Chcesz służbę wołać?“ rzekła postać w łachmany odziana — „pocóż się masz trudzić, tuż koło siebie masz przecież guzik od dzwonka elektrycznego. Pociśniej go, niech się służba zbiegnie, a gdy będą wszyscy zgromadzeni, przedstawisz mnie, jako swego kochanka, to pewne, że tym razem kłamstwa nie popełnisz!

„Ale czy rzeczywiście tak bardzo się zmieniłem“ — ciągnął dalej nieproszony gość, „że poznajesz we mnie swojego przyjaciela Alfreda! Dajże mi tylko trochę mydła, albo każ przygotować wannę z ciepłą wodą, za kwadrans zobaczysz, że to ja rzeczywiście jestem, twój kochanek, w którego ramionach spoczywałaś. Moja ty piękna Lolu, nie spodziewałam się takiego przyjęcia z twej strony, na to nie byłem przygotowany, że mię tak szorstko i niechętnie powitasz.“

„Jak śmiesz, nikczemny“ — ozwała się Lola, rzucając nań spojrzenie, pełne nienawiści, — „wkradać się do pałacu hrabiego Zamskiego? Jak możesz posuwać bezczelność swą do tego stopnia, by włazić do mieszkania przez okno, gdzie każdej chwili może wejść tu do pokoju mój małżonek? Co mu powiem, gdy się spyta, kto jesteś? Ale onby się nawet o to nie pytał, tylko kazałby zawołać policję, by cię uwięziła! Nieszczęsny, uchodź czemprędzej, jeżeli nie chcesz dostać się napowrót tam, skąd uciekłeś! Uciekaj, jak daleko cię nogi uniosą! Jeżeli nie masz pieniędzy, dam ci, co w tej chwili sama posiadam, kilkaset franków, dostaniesz je zaraz, tylko wynoś się w tej chwili z tego domu, uwolnij mię od twojej obecności, natychmiast!“

Rozdrażnienie, gniew i rozpacz potęgowały się u młodej kobiety coraz bardziej, wreszcie opuściły ją siły, — łzy puściły się jej z oczu, — upadła na pół omdlała na fotel.

Robber, jakby go to nic nie obchodziło, jakby słowa te rozpaczą dyktowane, nie jego się tyczyły, usiadł wygodnie na fotelu obok pieca.

Wziął do ręki łopatkę i grzebać nią zaczął w żarzących resztkach dopalającego się drzewa, podsycając ogień.

„Nie uwierzyłby nikt“ — mówił sam do siebie — „jaki się lód czuje we wnętrzu, gdy się kilka tygodni w lasach przebywało, bez dachu nad sobą.“

Lola tymczasem łamała ręce. Czyż ten straszny człowiek nie oddali się, czy chce koniecznie, aby go w pałacu jej męża odkryli? Wtedy, ach wtedy wszystko stracone! Na milczenie Robbera, tego była pewną, liczyć nie mogła. On powie wszystko jej mężowi i cały gmach szczęścia, który na krótko przedtem wznosił się dumnie przed oczami jej ducha, runie, zawali się, marzenia jej o szczęściu znikną jak fata morgana, jak mgła wiosenna pod podmuchem wichru. Nie, do tego nie może dopuścić, Robber musi precz, ślad iść za każdą cenę, i to jak najprędzej.

„Słuchaj, Alfredzie“ — rzekła teraz Lola, wysilając się o ile mogła, na łagodny ton — „ja muszę się z tobą na serjo rozmówić.“

„Przedewszystkiem, moja Lolu, zamknij drzwi na klucz, zanim przystąpisz do tej rozmowy. Zdaje się, że dla nas obojga byłoby nieprzyjemnie, gdyby nas twój mąż tu razem zastał, najfatalniejszem w końcu byłoby może dla niego, bo byłbym zmuszony bez pardonu wyprawić go na tamten świat. Nie mam ani centa, ale mimo to potrafiłem sobie sprawić dla ewentualnej obrony ten scyzoryczek.“

To mówiąc, wyciągnął potężny nóż z kieszeni.

„Na Boga! Schowaj to i idź stąd! — jęknęła Lola — nieszczęsny, przecież go nie chcesz zamordować? Nie, raczej bierz moje życie zamiast jego, bo wiedz: Ja go kocham, kocham mego męża, całą potęgą mej duszy, jak tylko kobieta kochać może i drżę na myśl, że miała bym go stracić!“

„Tem lepiej“ — mruknął do siebie Alfred — „ta głupia gęś sama mi w łapy lezie.“

Lola zerwała się, pobiegła do drzwi i zamknęła je na klucz.

Niebezpieczeństwo było zażegnane przynajmniej na kilka minut.

Ale co się miało teraz stać, w jaki sposób mógłby się Robber wydalić stąd? Oknem znowu niepodobna, bo go kto spostrzeże. Nie mogła wogóle pojąć, jakim sposobem mógł się tu przez nikogo niespostrzeżony dostać, bo pokój był położony na pierwszem piętrze. A jeżeli się wydali, jeżeli mu się uda wykraść się z domu, w jaki sposób wytłumaczyć będzie mogła stłuczoną szybę?

A kto wie, czy go nie widziano już, gdy właził przez okno? Wszystkie te myśli wirowały w szalonej gonitwie po biednym mózgu Loli, chaos panował w jej duszy.

Jedna myśl tylko, co nie znikała i snuła się w tym chaosie, jedna i ta sama: co za nieszczęście by było, gdyby Kazimierz teraz nadszedł i zastał u niej Robbera, strach pomyśleć, zgubiona w takim razie, ach, gdybyż jak najprędzej zabrał się nie tylko z tego pałacu, ale i z Paryża, z Europy, najlepiej, gdyby umknął do Ameryki.

„Miałaś zamiar, jeżeli się nie mylę, mówić ze mną na serjo“ — przemówił drwiącym głosem Alfred Robber — „przyznasz jednak sama, że w tem ubraniu nie mogę przebywać w twojem towarzystwie. Dlatego proszę cię, zapro-

wadź mię do swojej sypialni, muszę się przedewszystkiem umyć i oczyścić z brudu.

„Potem będziesz tak dobra, użyczysz mi przyzwoitego ubrania z garderoby twojego męża, przypuszczam, że ubiera się u pierwszorzędnego krawca w Paryżu. Innego ubrania nie wdziałbym na siebie. Mamy na szczęście mniej więcej ten sam wzrost i tuszę, garderoba więc jego będzie i na mnie dobrą. A nie zapominaj o bieliźnie, bo z moją bardzo krucho".

Przy tych słowach rozpiął brudną, od tłuszczu połyskującą kamizelkę, pokazując również brudną, wełnianą, czerwoną koszulę.

„Gdy się w ten sposób ze zwykłego włóczęgi przemienię w dżentelmana Alfreda Robbera" — ciągnął dalej, bezczelnie pastwiąc się widokiem swojej ofiary, — „zechcesz postarać się o małą kolacyjkę. Ze względu na spóźnioną porę, zadowolę się i zimnemi potrawami, — nie wątpię jednak, że w piwnicy twego męża znajdzie się dla mnie dobra marka szampana.

„Nie zapominaj również i o cygarach, palę tylko prawdziwe importowane".

„Milcz" — zawołała Lola, tupiąc gniewnie nogą — „drwisz jeszcze zemnie? Tego wszystkiego, wiesz dobrze, nie mogę ci dostarczyć bez zwrócenia uwagi służby. Służba śpi już wprawdzie, oddaliłam ją dziś dość wcześnie, jednak..."

„Czyś słyszała, com kazał" — ozwał się całkiem zmienionym głosem Robber, „zapominasz, żeś moją niewolnicą! Idź, postaraj się o to wszystko, com powiedział, bo inaczej, podniosę głos tak, że się wszyscy ze snu pozrywają i słyszeć będą. Wahasz się jeszcze, więc ci pokażę, że nie żartuję —"

„Stój!" zawołała Lola i rzuciła się do Robbera, który już przyciskał palec do guzika elektrycznego dzwonka, „spełnię wszystkie twoje życzenia, przyniosę wszystko, czego tylko chcesz, nie czyń mię tylko nieszczęśliwą, nie zdradź mię! Biada mi, jam stracona, demon przeklęty wszedł do mego domu!"

„Chodź więc zemną" — ciągnęła bezsilnym już głosem Lola, nie mogąc opierać się dłużej woli tego strasznego człowieka, „zaprowadzę cię do mojej sypialni, tam możesz się oczyścić z brudu i przebrać, a w czasie tym postaram się o posiłek dla ciebie. Wszystko, wszystko już zrobię, czego żądasz, ale przyrzeknij mi tylko, że, gdy się przebierzesz i posilisz, jak najspieszniej dom mój opuścisz. Drżę na odgłos każdego kroku, dochodzącego mnie przez stłuczone okno z ulicy. Trzęsę się cała za najmniejszym szmerem. Każdej minuty mo że mój mąż nadejść, boję się, by ciebie tutaj jeszcze nie zastał! To okropne by było, gdybyście się razem spotkali".

„Tymczasem przygotuj to, czego żądałem, moja gołąbko" — rzekł oziębłe Robber — „co potem będzie, zobaczymy dopiero.

„Ależ tu śliczne masz gniazdko" — zawołała, gdy z Lolą przestąpił próg z komfortem urządzonej sypialni. — „Nie ma co mówić, smak masz wytworny! Tu by mi się podobało! Powiedz mi jednak, czy tylko te jedne drzwi prowadzą do twojej sypialni?"

„Nie" — odparła Lola — „jeszcze są drzwi tapetowe, tu oto, za niemi znajduje się pokój kąpielowy".

„A, i kąpiel nawet w domu! Jak widzę największa wygoda i nowoczesny komfort! Nie miej mi za złe mojej ciekawości, ale żywo mię zajmuje urządzenie mego przyszłego mieszkania".

„Czy z łazienek jest także jeszcze inny wychód?"

„Nie" — odrzekła niepewnym głosem Lola, ostatnie słowa bandyty napełniły ją śmiertelnym przestrachem. „W pokoju kąpielowym jest tylko jedno, wielkie okno".

„A gdzie wychodzi?"

„Na galerję ponad ogrodem".

„Dobrze, bardzo dobrze, teraz jasny mi jest cały rozkład, zdaje mi się, jak gdybym już tu z dziesięć lat mieszkał. Już ja się tu urządzę".

„Idźżeż raz już, proszę cię do łazienki i obmyj się, a ja ci tymczasem przyniosę ubranie męża. Jeżeliś mię kiedykolwiek kochał, Alfredzie, jeżeli żywisz choć odrobinę wdzięczności dla mnie, za tę godzinę rozkoszy, którą ci poświęciłam", Lola wzdrygnęła się przy tych słowach, „spiesz się, spiesz się, jak możesz najprędzej, inaczej jestem zgubiona i ty zgubiony i on!"

„On?" — rzekł Robber — „masz na myśli zapewno swojego małżonka? Bądź spokojna, moja gołąbko, o jego życie nie potrzebujesz się troskać! Jak długo on mię zostawi w spokoju, tak długo i ja jemu nic złego nie zrobię".

Bandyta otworzył sam drzwi tapetowe i stanął rozglądając się, na progu.

Ściany łazienki były wyłożone różnokolorowemi płytami kaflowemi, — wanna była porcelanowa, — nad nią połyskiwały kurki, którymi spuszczać było można zimną i gorącą wodę.

Sufit pokoju zdobiło artystycznie wykonane malowidło, przedstawiające „Wenus, z piany morskiej powstającą".

Jeden jak i drugi pokój za pociśnięciem guzika oblewał się światłem elektrycznem.

„Prędzej więc, tam w kącie masz marmurową umywalnię. Znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz: mydło, grzebień i szczotkę. Za kilka minut jestem z powrotem".

Sarnim krokiem pobiegła do drzwi, w rysach jej twarzy przebijało się ogromne naprężenie nerwów, z pod spuszczonych powiek świeciły oczy blaskiem złowrogim.

Zwolna podniosła rękę i uchwyciła nią klucz tkwiący w zamku na wewnątrz. Ale w tej samej chwili, kiedy go chciała wyciągnąć, chwycił ją za rękę Robber i zawołał ochrypłym głosem:

„O nie, moja piękna Lolu, tak się nie bawimy! Tobie zdaje się, żem w czasie ucieczki, kiedym się musiał błąkać po lasach i bagnach, podupadł nietylko fizycznie ale i umysłowo.

„Mogę cię zapewnić, że jestem zawsze ten sam, sprytu nie brak mi i przejrzałem twój zamiar. Prawda chciałaś mię zamknąć z zewnątrz, byś tem wygodniej mogła się zemną układać. Ale, moja kochana, wiedz o tem, żeś za głupia, byś mogła takiego Robbera podejść. Klucz zostanie tu, jak był, a ty pójdziesz i przyniesiesz, co kazałem".

Ostatnie słowa wypowiedział podniesionym i rozkazującym głosem, któremu towarzyszył giest aż nadto zrozumiały, by się Lola ośmieliła opierać.

Jak pijana, zataczając się, przeszła Lola przez sypialnię, udała się do pokoju Kazimierza, a stąd do garderoby jego.

Tu wzięła pierwsze ubranie, które jej wpadło pod rękę, trochę bielizny i w kilka minut później uchyliwszy nieco drzwi łazienki, wrzuciła mu to wszystko, czego żądał.

„A teraz kolacja" — zawołał zbrodniarz z wewnątrz, „a nie zapomnij o szampanie".

Za mniej więcej dziesięć minut nakryła stół na środku swojej sypialni.

Jak złodziejka zakradła się do własnej śpiżarni, — wyniosła z niej, co jej pod ręce wpadło. Półmiski z sałatą z ryby, zimną pieczeń, kiełbasę, szynkę, — wszystko to stało już przygotowane dla Robbera, — nie brakło też i kilka flaszek wina.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

H-U-M-O-R



— Okropnie zimna woda dzisiaj.
— To zapewne dlatego, że mama zabroniła mi dzisiaj się kąpać.

„Wysoka szerokość geograficzna“

Pewna młoda aktorka warszawska, znana zarówno ze swych wielkich pretensyj do kultury umysłowej. jak i z minimalnego wykształcenia, wyjechała w podróż morską. Z wycieczki przysłała kartkę z następującemi słowami: „Wszystkim Koleżankom i Kolegom zasyłam serdeczne pozdrowienia z wysokiej szerokości geograficznej“.

Roztargniony

— Marysiu — mówi gospodyni pensjonatu — czy pan profesor jadł już obiad?
— Nie wiem, proszę pani.
— No to idź i spytaj pana profesora.
— Kiedy ja już go pytałam, i on także nie wie.

Wykręcił się

— A czemu to pan się nie żeni, panie redaktorze? — pyta pani, rzucając nieznacznie okiem na swoją obok stojącą córkę.
— Pani dobrodziejko — odpowiada redaktor — małżeństwo bywa albo niebem, albo piekłem. Na niebo nie zasługuje taki grzesznik jak ja, a do piekła któżby się pchał dobrowolnie.

Uprzejmy

Pani domu, niezbyt młoda ani urodziwa, mówi do młodego człowieka, który zaprasza ją do pierwszego tańca:
— Pan bardzo uprzejmy...
— O, nie proszę pani, ja tylko zostałem wychowany w dawnych zasadach: najpierw obowiązek, potem przyjemność.

Oszczędność jest cnotą

Pewnego sędziwego Szkota, który ze starości ledwo mógł się poruszać, zapytano:
— Dlaczego pan nie jeździ tramwajem?
— Tramwajem?! — zapytał starzec — przecież w tramwaju przewożą za darmo tylko pasażerów do lat 4. A któż mi uwierzy, że jeszcze nie mam czterech lat?!

Nasze dzieci

Pan dyrektor Piórko obdarował swego synka i córeczkę na gwiazdkę bardzo miłą zabawką, ślicznym domkiem z tektury. Mały Antoś, obejrzawszy krytycznym wzrokiem zabawkę, powiada:
— Na dachu jeszcze czegoś brakuje!
— Jakto brakuje? Przecież jest i komin i okienka od strychu...
— A ja mówię, że brakuje. Po pierwsze — anteny, a po drugie — hipoteki!

Zoologja w restauracji

— Kelner, co to znaczy, od pół godziny czekam na zamówioną zupę żółwiową!
— Ach, pan dobrodziej wie przecież, jak żółwie są powolne...

Dobra rada

Żona z mężem przechodzi koło wystawy sklepu jubilerskiego, zatrzymuje go, zaczyna się przypatrywać i mówi:
— No, popatrz się najdroższy, co za wspaniałe brylanty w tym naszyjniku. Jaki ogień, jakie blaski.... — formalnie oczy razi.
— Masz rację, najdroższa, odejdźmy stąd coprędzej.

W teatrze

Na deskach teatralnych rozgrywa się straszliwy dramat. Bohaterski tenor powalił rywala na ziemię i trzymając miecz nad jego głową śpiewa piękną arję: „Za chwilę cię zabiję.“
Arja cieszyła się niesłychanem powodzeniem i bohater musiał cztery razy śpiewać na bis.
Gdy jednak zaśpiewał po raz czwarty: „Za chwi-i-lę cię za-bi-je“, partner leżący na po dłodze już nie mógł wytrzymać i ryknął:
— Zabij, do licha, prędzej, bo się spóźnię na ostatni tramwaj!

Omyłka

Gdy pan Hieronim wrócił wczoraj do domu na obiad, żona rzekła doń głosem niezbyt przyjaznym:
— Doniesiono mi, że spacerowałeś wczoraj z jakąś piękną kobietą... Gadaj w tej chwili kto to był?!
— Ależ, kochanie, to omyłka!... Jaka piękna kobieta?... Przecie z tobą chodziłem wczoraj po zakupy, nie pamiętasz?

Nowe zajęcie

— Serwus Stefanie! Co słychać? Czem się teraz trudnisz?
— Biorę czynny udział w kryzysie wszechświatowym.



Ona: — Nie bądź tak bezczelny, Kaziu!

W sądzie

— Świadek zamężna?
— Dwukrotnie, wysoki sądzie.
— Wiek świadka?
— 27 lat.
— Też dwukrotnie?

Złośliwość

Pani Eulalja ma 35 lat, a wygląda conajmniej na kobietę pięćdziesięcioletnią. Chcąc się pochwalić przed znajomym i dowieść mu, że kiedyś również była bardzo młoda, pokazuje mu swe zdjęcie, gdy jako niemowlę spoczywała w ramionach matki.
— Widzi pan?... — powiada filuternie pani Eulalja. — Tak wyglądałam przed 33-ma laty...
— Aha... Bardzo ślicznie... A czyje dziecko trzyma pani w ramionach?

Wytłumaczył

Antoś i Feluś siedzą sobie przy bombkach piwa i medytują.
— Te, Antoś, powiedz, co leży dalej od nas, księżyc czy Ameryka?
— Chyba, że Ameryka.
— Dlaczego?
— Bo księżyc od nas widać, a Ameryki nie.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8
Telefon 32
Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin